

18  
17  
16  
15  
14  
13  
12  
11  
10  
9  
8  
7  
6  
5  
4  
3  
2  
1  
0

**MOINA,**

CZYLI:

**NIEPOJĘTE DROGI  
OPATRZNOŚCI.**

PODŁUG POWIEŚCI FRANCUZKIĘJ

DLA

**MŁODZIEŻY**

NAPISAŁA

**Emma z Kurowskich Puffke.**

LESZNO.

Nakładem i czcionkami Ernesta Günthera.

1862.

*Elzbieta Pawischa*

*Mogilno 1893.*

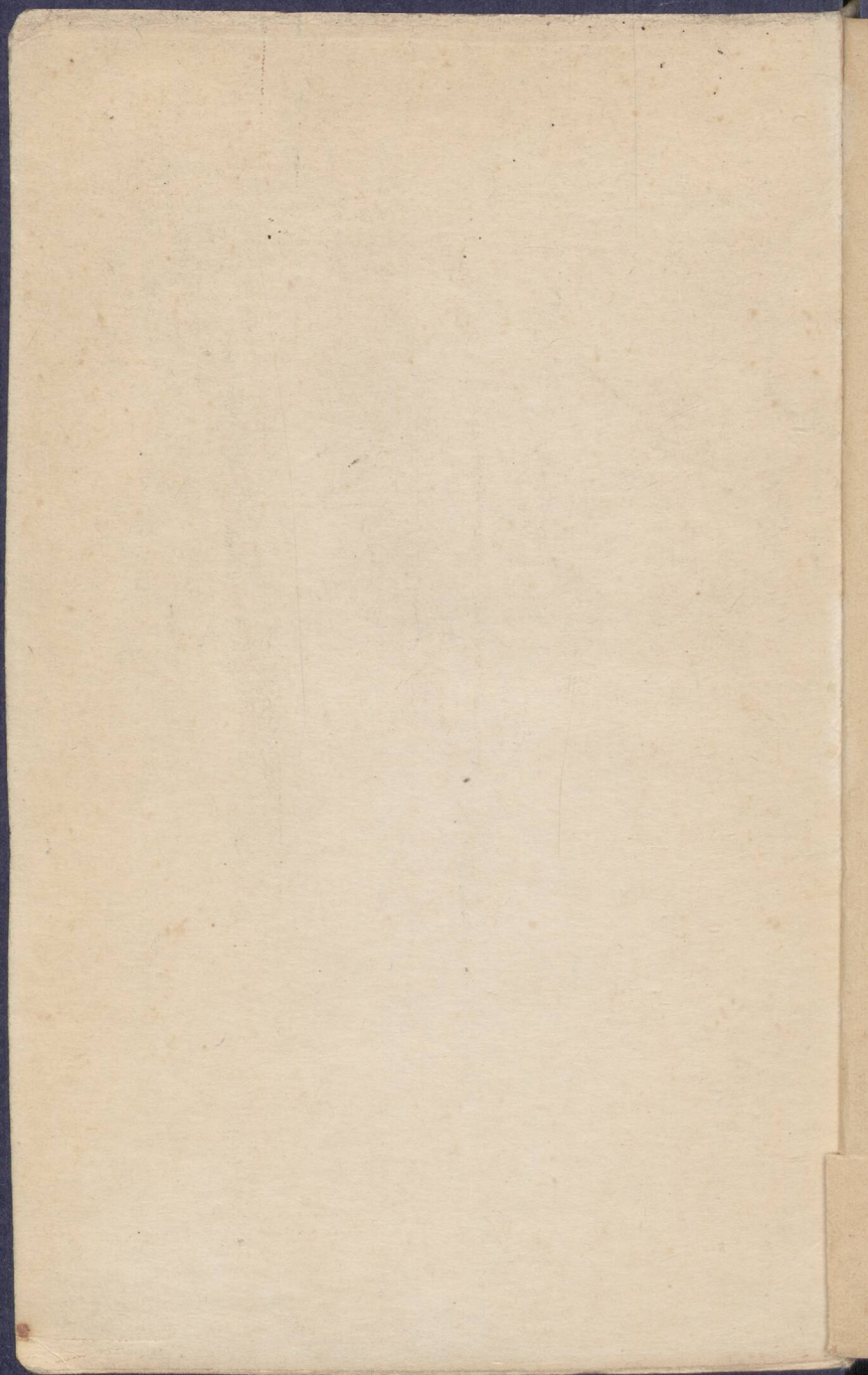
0 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12

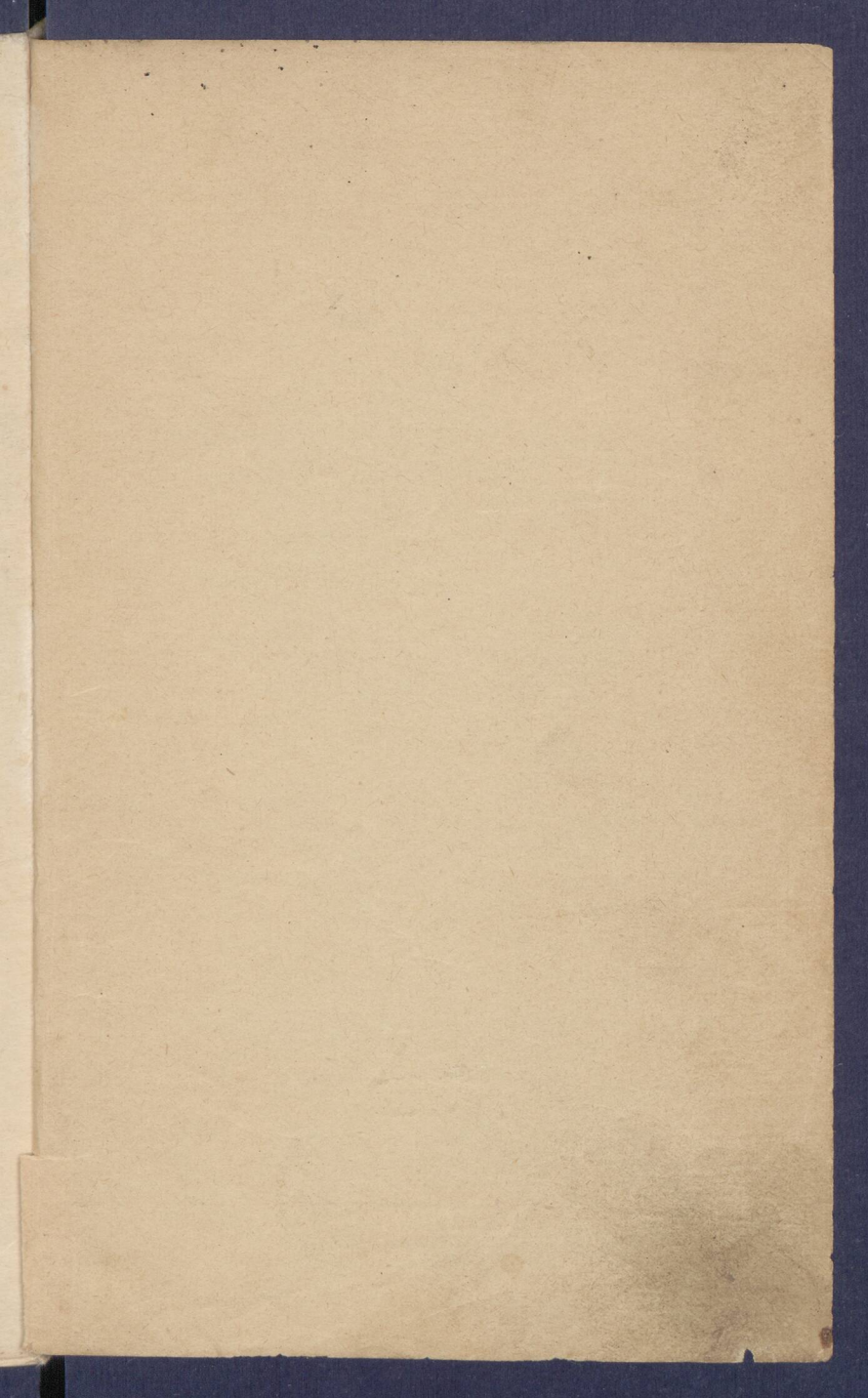
h

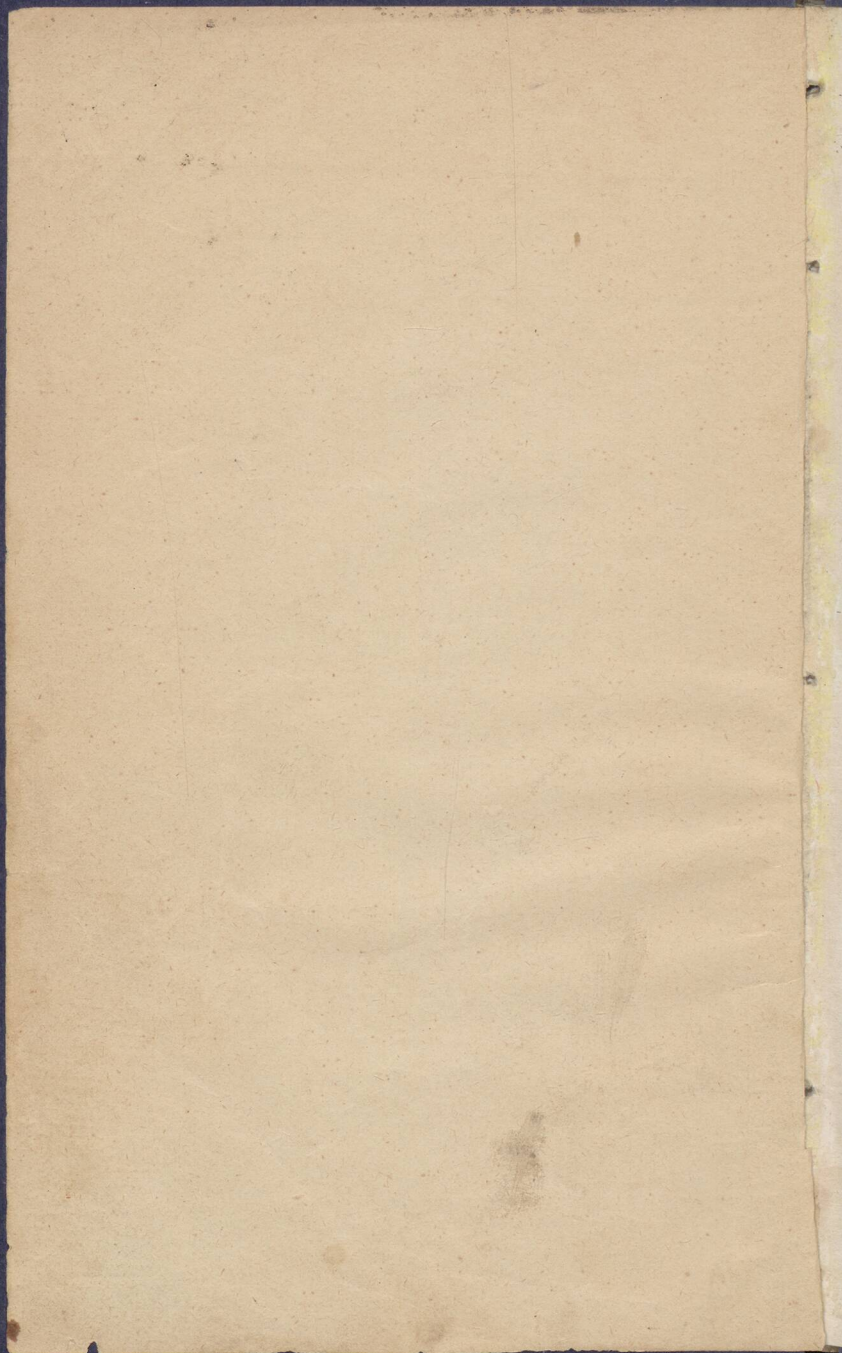
Emma Puffke

Mosina.

Leseno 1862







# MOINA,

CZYLI:

## NIEPOJĘTE DROGI OPATRZNOŚCI.

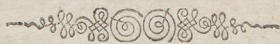
PODŁUG POWIEŚCI FRANCUZKIĘJ

DLA

### MŁODZIEŻY

NAPISAŁA

**Emma z Kurowskich Puffke.**



**LESZNO.**

Nakładem i czcienkami Ernesta Günthera.

1862.

*Elisbetta Panisch*

*Mogilno 1893.*

979431



Bibl. UAM  
II KMS

## I.

## Gitanos.

**U** stóp Pyrenei, z północnej strony tego wspaniałego gór pasma, który dzieli Francją od Hiszpanii, leży jedna z najpiękniejszych prowincyi, obfitująca w wszelkie dobrodziejstwa boskie. W dolinach téj prowincyi francuzkiej, nazwiskiem le Roussillon, znajdują się kwieciste łąki, urodzajne łąny, ożywione gromadą wesołych zwierzy, lub paszącemi się trzodami bydła. Zieleniące się na pagórkach winnice wydają tak przednie wino, iż wyrównywa co do smaku i woni najkosztowniejszym winom hiszpańskim. Gęste lasy pokrywają dziwaczne gór kształty, kryjące zazdrośnie przed okiem badacza skarby srebra, marmuru, a może i złota, które spoczywają w ich łonie. W wąwozach, krążących pomiędzy górami, wytryskują źródła wód mineralnych, u których bogacze i ubodzy znajdują zdrowie lub ulgę w cierpieniach. Prześliczne krajobrazy, szumiące wodospady, rzeczki, które zdają się kołysać w swych czystych żwirowych korytach, omeszałe skały z głębokimi pieczary, przed których tajemniczemi wchody zielony bluszcz swe bujne rozpina gałęzie, piękne kwiaty alpejskie z swą upajającą wonią i jaskrawemi barwy, a po nad niemi, niby zima obok wiosny, szczyty gór wiecznym pokryte lodem; to wszystko sprawia widok wznoszący do Boga duszę, która w radosnym podziwieniu składa dziękczynienia Stwórcy przedwiecznemu, który w swój nieskończonój dobroci obdarzył ludzi tylu pięknościami. Bo wspaniałości przyrody utworzył on tak dla najmożniej-

szego jak i najniższego z swych stworzeń; dobroczynne promienia jego słońca świecą tak dla króla jak i dla nędzarza; i dla bogaczy jak dla ubogich jaśnieją na wieczorném niebie miliony gwiazdek, wzbudzając tak w wesołych, jak i w boleścią ściśniętych sercach, nadzieję przyszłego życia.

Był to piękny dzień czerwcowy roku 1815. Słońce świeciło jasno w dolinie Roussillon, w pobliżu gór. Powietrze było czyste i przejrzyste niby kryształ; ptaszki, nie znużone jeszcze dziennym skwarem, świegotały wesoło wśród gałęzi; owady brzęczały głośno na ziołach i trawkach; był koncert tak radosny, tak pełen życia i uciechy, iż serce ludzkie mimowolnie brać w nim udział musiało. Wszystko cieszyło się ślicznej czerwcowej pogodzie, a każda istota w właściwym sobie sposobie wznosiła hymny dziękczynienia swemu Stwórcy.

Szeroka, lecz mało udeptana ścieżka, krążąca wśród buków i dębów, prowadziła przez ciemną aleję do rozległego parku, otoczonego grubym murem. W małej zaś odległości wзираły z po za drzew zielonych wieże i chorągiewki okazałego pałacu.

Mogło być około ósmej godziny zrana, kiedy gromada, składająca się z przeszło dwudziestu ludzi rozmaitej płci i wieku, zatrzymała się w pobliżu tego parku.

Wydatne fizyognomije tych ludzi, jak i ich strój, składający się z dziwacznej mieszanki francuzkiego, hiszpańskiego i oryentalnego ubioru, upstrzonego błyskotkami, a zmienionego w łachmany, wzbudzały nie tylko odrazę, lecz nawet obawę. Mężczyźni mieli długie włosy, które nieuczesane spadały w nieładzie na ich ramiona, i krótko obcięte brody; starcy zaś mieli siwe długie po pas brody. Wszyscy prawie byli odziani w płaszcz hiszpańskie, lecz na głowach mieli jedni tur-

bany, inni szpiczaste kapelusze, jakie zwykli nosić przemycarze w owych okolicach. Uzbrojeni byli wszyscy w bronie mniej więcej niebezpieczne, które niektórzy ukrywali, niektórzy zaś szczycili się niemi. Kilku mężczyzn prowadziło muły obładowane starami koprowemi sprzętami i rozmaitemi narzędziami potrzebnymi drucziarzom. Inni pchali taczki, na których był nagromadzony najrozmaitszy zbiór starych gratów, pochodzących tak z pałacy, jak i z najlichszych chatek. Pociąg ten zakończył stary pojazd płótnem pokryty, który zawierał dekoracye teatralne i aktorów. Ci aktorowie była to gromada psów, które w swych teatralnych kostiumach okryte frandzlami, wstążkami, galonami, w kapelusikach z piórami, smaczno zasypiały. Oprócz tego siedziały tam jeszcze dwie kobiety i bardzo rzeski starzec w pąsowym płaszczu; ten powoził z taką majestatyczną powagą ślepym koniem, jak gdyby bicz jego był berłem, a stary słomiany kapelusz koroną. Niewiasty w téj gromadzie miały krótkie spodniki, obszyte taśmami w jaskrawych kolorach; na nogach drewniaki, obszyte wyblakłemi wstążkami lub galonami, lecz zamiast pończoch nogi ich pouwijane były w łachmany, przezco chód ich tracił lekkość i gracyą, jakiej się można było spodziewać po żywości w ich ruchach i kształtności ich kibici. Na głowie miały rozmaite stroje, lecz większa ich część miały je owiązane czerwonymi chustami, lub téż osłonięone kształtnym katalońskim kapeluszem. Wszystkie, nawet staruszki, miały piękne połyskujące czarne włosy, które w długich warkoczach spływały aż do ziemi. Mnóstwo świecideł z blachy i szkiełków zdobiły ich szyje, uszy i ręce, a przy nich odbijała tém gorzej ich odzież zabrudzona. Płeć wszystkich była bardzo śniadą, prawie oliwkową; ich oczy błyszczące jak dyamenty,

były ocienione długimi rzęsami, a nad niemi wznosiły się gęste brwi pięknego kształtu. Ich zęby podobne były sznurkom pereł. Młodzież miała piękne i regularne rysy, lecz starość już na nich po trzydziestu latach okazywała skutki zgrzybiałości.

Całe to zgromadzenie nosiło na sobie cechę owego tajemniczego plemienia, które bez ojczyzny i przytułku błąka się po wszystkich krajach starego świata. Już od wieków istnieje ten ród w Europie; my Polacy nazywamy ich Cyganami; Francuzi, niewiedząc z jakiej przyczyny, dali mu miano Bohémien (Czechy); Anglicy nazywają ich Gipsies, a Hiszpanie Gitanos.

Ich obyczaje, język i zwyczaje, są wszędzie te same, pod jakimkolwiek znajdują się niebem. W którymkolwiek napotka ich się kraju, wszędzie widzi się u nich właściwości, które im tradycya od tyłu przypisuje wieków. Wszędzie trudnią się tém samym rzemiosłem, jeżeli tak nazwać można ich przemysł niegodziwy.

Wiodą życie koczujące, to jest: mają odrazę od stałych pomieszek i wolą koczować w namiotach lub szałasach, które nagle opuszczają i przenoszą się w inne strony. Zbierają się w bandy czyli gromady pod wodztwem samowolnie obranego króla czyli naczelnika. Ten król panuje nad nimi samowładnie, lecz jego samowładztwo podlega zwyczajom bandy i obawie ich zemsty. Bo zdarza się często, iż Cyganie osądzą swego króla i bez wszelkiego skrupułu powieszą na pierwszój lepszój gałęzi w lesie. Obiorą innego i nazajutrz pierwszy już zapomniany, jeżeli prawa krajowe nie zabronią takiego nadużycia. To zaś zdarza się rzadko, gdyż Cyganie umieją swe zbrodnie tajemniczą zasłoną pokrywać. W ogólności są oni obdarzeni nieporównaną bystrością do złych i niegodziwych czynów. Że Cyga-

nie żadnej nie posiadają religii, rozumie się samo przez się. Są właściwie poganami, lecz największa z nich część nie wyznaje żadnej wiary, nie zna żadnych praw i przykazań. Nie umieją pisać, ani czytać; wzrastają bez żadnych zasad, w najgrubszej niewiedomości; nie dziw więc, iż do wszystkiego złego są zdolni.

W tych czasach zmniejsza się coraz bardziej liczba Cyganów w Europie; w Rosyi, Mołdawie i na Wołochach mieszkają się do podobieństwa z krajowcami, bo powoli przywykają tam już do stałych siedlisk i praw krajowych. Co do religii zostają przecież uporczywie zatwardziali i niechęcą nawet w Boga uwierzyć. W południowej Francyi i Hiszpanii są Cygani dość jeszcze częstymi gośćmi, i pomimo czuwania policyi, niepokoją mieszkańców kradzieżami rozmaitego rodzaju. Szczególną także mają pasją do kradzenia dzieci, które wycuczają rozmaitych sztuk bezużytecznych i przedstawiają je publiczności.

W niniejszej powiastce, która jest osnuta na prawdziwym zdarzeniu, przedsięwzięliśmy sobie przedstawić obrazek ich obyczajów i niektóre właściwości tego dziwnego ludu.

## 2.

### S e n.

Cyganie zatrzymali się w krańcu boru, w pobliżu pomieszkania, które podług wszelkiego podobieństwa było okazałym pałacem. Ten pałac, którego wieżyczki ukazywały się z po za drzew zielonych, zdawał się całą ich zwracać uwagę. Lecz byłaż to bojaźń, czy nadzieja, która w ich oczach pałała? Co mieli robić? Zbliżyć

się doń bardziej, lub udać się w ciemne lasy na górach? Spiesznie zgromadzono się na naradę. Starzec wiodący pojazd nie był to kim innym, jak samym królem jego-  
mością, nazwiskiem Žoi XXVI.; rzucił lejce jednemu ze swoich poddanych i zeskoczył z pojazdu z zręcznością, która w jego wieku i przy jego otyłości, była podziwienią godną. Szanowny samowładca zbliżył się do przedniej straży, która się składała z najstarszych radców stanu, i rzekł po cichu, wskazując z przebiegłą miną na fórtkę żelazną w parkanie:

„Kto tam pójdzie?“

„Jedna z kobiet,“ rzekł starzec najznacniejszy z bandy; „jest to bezpiecniój i kobiety widzą lepiój.“

Mężczyzni zaczęli szemrać pomiędzy sobą.

„Lars dobrze mówi,“ rzekł naczelnik tupając nogą; „kobiety są przebieglejsze i nie wzbudzają tyle podejrzenia jak mężczyźni. Kiro! jesteś najmłodszą i najmądrzejszą, tobie więc należy to zlecenie. Co masz czynić wiesz dobrze, nie potrzeba ci żadnych objaśnień. Jeżeli uznasz, iż tam możemy co skorzystać, wprowadzisz nas; jeżeli zaś nie, pójdziemy dalej.“

„Pójdę z moją córką,“ ozwała się stara niewiasta w czerwonej chustce na głowie, „dwie nas nie zawiele.“

„Dobrze mówisz Kamardo,“ rzekł król Žoi, „gdzie się ty przyłączysz, można się dobrego skutku spodziewać. Nikt nas jeszcze nie widział, samotno tutaj jak w pustyni. Udamy się w gęstwinę i będziemy tam oczekiwać waszego sprawozdania. Będzie to najmądrzej, a przytém wygodnie dla nas, bośmy znużeni daleką podróżą.“

„Ten leniuch,“ mruknęła jedna stara Cyganka, która dla swych mów buntowniczych była skazaną na kilkodziennie podróżowanie piechotą; „szerzył się w pojeździe, a teraz udaje zmęczonego.“

Szczęściem naczelnik nie dosłyszał tych słów opryskliwych i szedł ostrożnie z swoją bandą w gęstwinę, podczas kiedy Kamarda z Kirą zabierały się do spełnienia posłannictwa, do którego były wybrane.

W kilku minutach była ścieżka leśna znów próżna i ani znaku na niej z Cyganów. Dwie kobiety zczekały chwilkę, a potem przybrawszy wyraz cierpienia, boleści i znużenia, wlokły się z udaną słabością ku żelaznej fórtce.

„Oprzyj się na mnie, matko,“ mówiła Kira tonem troskliwej czułości; „jesteś tak znużoną i zgłodniałą. Może znajdziemy tu litościwych ludzi, którzy nas wesprzeć raczą. Bóg nas nie opuści.“

Te obłudne słowa były mówione na przypadek, gdyby się jakiś niewidziany słuchacz pomiędzy drzewami znajdował. Bo Kira wiedziała, iż nic bardziej nie wzbudza litości, jak skargi nieobrachowane na słuchaczy. Tak szły Cyganki coraz dalej w ciemnej alei, oglądając się na wszystkie strony.

„To istny zamek zaczarowanej księżniczki w śpiącym lesie,“ rzekła Kamarda ze śmiechem.

„Śmiało naprzód, a przedewszystkiem milczenie matko,“ odpowiedziała Kira.

Alea była bardzo długa; piękne altany z ławkami i stolikami kamiennymi zdobiły ją gdzieniegdzie. Cyganki zazierały do każdej z nich, czy kogo nie spostrzeżę, lecz wszystkie były próżne.

Już straciły nadzieję spotkania kogo w tych miejscach i chciały iść prosto do pałacu, kiedy u skrzyżowania alei większa okazalsza altana zwróciła ich uwagę.

Ten domek letni niedostępnym był promieniom słonecznym, bo zielone gałęzie tworzyły nad nim dach gęsty. Róża jerychońska roztaczała w nim swe wonie miłe, a fontanna marmurowa chłodziła około niego

powietrze swym orzeźwiającym wodotryskiem. Ptaszki w otaczających go zaroślach śpiewały tak głośno, jak gdyby chciały zagłuszyć szmer wody.

W tym zielonym salonie, na kanapie z mchu, która swą miękkością przechodziła wszelkie aksamitne wez-głowia, leżał czteroletni chłopczyzna w śnie głębokim pogrążony. Ubrany był w białą sukienkę, zdobną niebieskimi wstążkami, z pod której wyzierały drobniu-chne nóżki, a śliczna jego twarzyczka, ocieniona pierście-niami ciemnoblond włosów, spoczywała na bieluchnej ręczce. Obok chłopca leżał mały piesek z długim miękkiem jak jedwab' włosiem, z czarnym pyszczkiem i takimiż uszami. Na szyi miał obrózkę jedwabną, wyszywaną różnobarwnemi perełkami. Był to zachwy-cający widok, zdolny najtwardsze wzruszyć serce.

Gdy Cyganki weszły do altany, piesek skoczył i za-czął szczekać na nie z zajadłością, lecz te nie potrze-bując się nawet porozumieć z sobą, udały się do dzieła. Młodsza przykryła pieska fartuchem i ścisnęła go tak mocno, iż się nie mógł ruszyć, podczas kiedy stara wzięła lekko i zręcznie dziecię z kanapki, nie przebu-dziwszy go, i z tą śliczną zdobyczą pobiegły na powrót przez aleę z grabiny ku gęstwinie, gdzie na nią jej to-warzysze czekali, dając im znak, by się niezwłocznie do pieczar w skałach udano.

To wszystko stało się prędkiej niż opowiedzieć można. Obiedwie złodziejki biegły z szybkością ściganych jeleni, nie wymówiwszy ani słowa, dopóki nie stanęły w pieczarach.

„Cóż tam niesiecie?“ zawołał Żoi na zadyszane niewiasty.

Kira upuściła teraz małego pieska, którego w szyb-kim biegu o mało nie udusiła.

„To nie warto fatygi,“ zawołał król z niechęcią.  
„Czy nie macie nic więcej?“

„Nic więcej?!“ zawołała Kamarda, odwijając lachmany z chłopca, któremi go była okryła, gdy się zaczął budzić i kwilić. „Więcej nic? cóż powiecie na to mości królu?“

„Aj, przysięgam na brodę mego ojca, piękne dziecko, Kamardo, me kochanie, jesteś najdoskonalszą kobietą w świecie!“

„Doprawdy?“ rzekła stara z szyderym uśmiechem.

„Uczynię wszystko dla ciebie, co tylko zażadasz,“ rzekł znowu naczelnik.

„Czy mi to obiecujesz uroczystie?“

„Obiecuję. Większej przysługi niemogłaś nam uczynić. Ten chłopiec sprowadzi nam szczęście.“

„Wszyscy jesteście świadkami, iż Żoi przyobiecał uczynić dla mnie wszystko, czego zażadam,“ rzekła stara, obracając się do zgromadzonych Cyganów.

„Jesteśmy, jesteśmy,“ ozwało się kilka głosów.

„Więc Żoju pozwól mi sprowadzić do nas moją córkę Moinę. Przynurcz mi, że ją mogę odebrać od jój znakomitej opiekunki, która mi jój przywiązanie wydarła. Chcę ją koniecznie mieć przy sobie.“

„To wielkie głupstwo, Kamardo,“ rzekł król ponuro. „Wiesz dobrze, że twoja córka kochać cię nie może. Jest w dobrych rękach, więc ją tam zostaw; lepiej to dla niej i dla ciebie.“

„Lecz ja chcę ją na powrót,“ rzekła uporczywa stara.

„Więc ją sprowadź uparta czarownico, ale nie skarż się potem przedemną, bo ja cię słuchać nie będę.“

„Wiem już jak to będzie,“ rzekła Kira kwaśno, „ona mi będzie tylko w drodze, będzie dostawała nowe chustki, wstążki, korale, jak gdybym ja sama niemiała za mało.“

„Nic nie dostanie, zapewniam cię,“ rzekła stara.

„Dość tych sprzeczek,“ rzekł Żoi z powagą. „Jakże będzie z naszą zdobyczą? któż się zajmie wychowaniem tego dziecka?“

„Ja, ja, ja,“ ozwały się chórem kobiety.

„Spodziewam się, że my;“ rzekła Kamarda. „My mamy największe prawo do tego, bośmy go z niebezpieczeństwem życia ukradły?“

„Sprawiedliwie, byście wy go zatrzymały,“ rzekł stary król.

„Wiem, że Żoi zna się na słuszności,“ rzekła stara z wyrazem tryumfu.

Biedna mała istotka, która była przyczyną tych targów, miała jeszcze oczki zamknięte, zapewne z bojaźni; bo po pierwszym okrzyku z przestachu, był biedny chłopczyzna tak mocno spętany, iż lękał się już powtórzyć swoje wołanie, lubo go powoli z więzów uwolniono — i płacząc, tylko po cichu powtarzał ciągle „mamo, mamo!“

Kamarda położyła go na ziemię, piesek przytulił się do niego, i szczekał przeraźliwie na każdego, kto się chciał przybliżyć do dziecka.

„Cicho, przeklęty psie,“ wołał Żoi; „nie można się rozumieć przed twoim wrzaskiem.“

Chłopczyk głaskał pieska i szeptał mu po cichu do ucha: „Nado, pójdźmy do domu; Mundzio się tu boi.“

„Jaki on śliczny,“ rzekła Kamada z zachwyceniem, „co za włosy, co za twarzyczka, jaka białość i rumieniec, jaka śliczna figurka. Gdy go wyuczymy tańczyć na linie, przyniesie nam tysiące. Ale ja go po swojemu wychowam. Nie trzeba go bić ani łajać, mógłby się rozchorować i umrzeć, i nie mielibyśmy nic z niego. Ja będę się tak z nim obchodzić, iż mnie polubi. Jak ci imię serduszko?“ zapytała go w francuzkim języku.

Chłopczyk, przywykły tylko do zepsutej francuzczyny, jaką mówią w Roussillon, nie rozumiał Cyganki. Trzykroć zapytany milczał ciągle.

„Nie rozumiesz tego języka; to dziwnie, jesteśmy tu przecież we Francji.“ Potém zapytała go po hiszpańsku, lecz i na to nie odebrała odpowiedzi.

„Może on rozumie tylko język, jakim mówią w tych okolicach. Muszę sobie przypomnieć kilka słów,“ rzekła stara, a potém dodała: „Jak ci imię miły chłopczyku?“

„Imię mi Edmund.“

Głos jego, łkaniem przerywany, tak był cichy, iż Kamarda zaledwo zrozumiała jego odpowiedź.

„Więc Edmund,“ rzekła, „i jak więcęj?“

„Ja nie wiem.“

„Jak się nazywa twój papa i twa mama?“

„Pan hrabia i pani hrabina.“

„A jak jeszcze?“

„Ja nie wiem.“

„A jak się nazywa twój piesek?“

„Nada.“

„Nada, hiszpańskie imię, otóż skazówka,“ rzekła stara do siebie.

„Ale dziecię czemu tak zamrużasz oczki, czy to ze strachu?“

„Tak.“

„Nie bój się, my cię kochamy i nie zrobimy ci nic złego. Dostaniesz wszystko, czego zażadasz.“

„Przyprowadźcie mi Nanette.“

„Zaraz pójdziemy po nią, ale otwórz oczki.“

„Nie mogę.“

„Dla czego?“

„Bo nie mogę.“

„Ach, to być nie może. Lecz trzeba być cierpliwą. Powiedz mi, czy umiesz już cośkolwiek?”

„Nie. Chcę iść do mamy.”

„Czy umiesz tańczyć?”

„Ach nie.”

„A śpiewać?”

„O umiem wiele piosenek.”

„Czy twój piesek umie jakie sztuki?”

„On mnie prowadzi.”

„Jakto, prowadzi cię?”

„Zaprowadzi mnie wszędzie, bo ja nie widzę.”

„Jakto, tyś ślepy?”

„Tak,” rzekł chłopczyzna, zakrywając twarzyczkę rączkami.

Giełzący śmiech Cyganów rozległ się w pieczarach i wprawił w wściekłość obie Cyganki.

„Piękna zdobycz,” ozwał się jeden.

„Nie zbogacim się tym skarbem,” dodał drugi.

„Odprowadź go Kamardo,” rzekł król, „nie warto dla tego wystawiać się na karę galerów. Udamy się lepiej podług pierwszego naszego planu do Perpignan. Psa zatrzymamy, aby cośkolwiek zarobić na waszej wy-cieczce. Toby warto było! — do pioruna zawiedliśmy się doskonale.”

„Nie sądź tak porywczu Żoju” — rzekła Kamarda — „zbierz twe myśli tylko. Ja powiadam, że to dziecko jest dla nas złotą miną.”

„Ta stara czarownica szaleje za tym chłopcem,” ozwał się jeden z młodych Cyganów.

„Jakiego ten młokos mędrka udaje,” odpowiedziała Kamarda, rzucając złośliwe spojrzenia na niego, „zapewne dla tego, że siedział w ciupie w Paryżu, a w Grecyi miał iść na szubienicę. Patrz tylko na tego chłopca

młody głupcze, czy on nie ładny? nie zachwycający? A wy możecie myśleć, iż on przy dobrém prowadzeniu nie przyniesie nam tysięcy! Przyniesie on zapewne więcej, niż ty przez cały rok nakraść potrafisz. Gdy się ukaże z pieskiem i tamborynem, wszyscy mu będą sypali złoto i srebro.“

„Może to być prawdą,“ mruknął naczelnik.

„A jak się śpiewać nauczy,“ mówiła dalej Kamarda, „to to dopiero będą się cisnęli około niego. Powiadam wam, ten chłopiec jest wielkiem dla nas szczęściem.“

„Gdy go pokażemy publicznie, poznają go ludzie,“ rzekł jeden ze starców.

„Kto go myśli pokazywać w téj okolicy?“ rzekła stara.

„Cóż dalej czynić w téj sprawie,“ zapytał Żoi Kamardy.

„Cośmy już kilkadziesiąt razy w mniej ważnych sprawach czynili. Przejdziemy przez parowy w górach do Hiszpanii i oddalimy się w spiesznym pochodzie jak można najdalej od granicy. Podczas gdy nas tu poszukiwać będą, udamy się na inném miejscu do Francji. Jest to plan śmiały, lecz roztropny. Pójdziemy prosto do Syonu, tam będziemy bezpieczni, bo to ztąd daleko.“

„Tyś zawsze najmędrza Kamardo, przystaję na twój wniosek,“ rzekł poważnie naczelnik.

„Lecz teraz żwawo,“ mówiła dalej stara. „Jeszcze tego wieczora musimy się w jakiej wioszczynie hiszpańskiej zatrzymać i wyprawić publiczne widowisko. Tego malca trzeba ukryć starannie. Wóz niechaj będzie w pogotowiu. Jutro więc, jutro, ujrzę moję Moinę. Naczelniku, ona to będzie ochmistrzynią tego panicza.“

„A ja?“ rzekła Kira.

„Ty go nauczysz zebrać podług naszych reguł,“ odpowiedziała matka.

Biedny mały aniolku, w jakież gniazdo zbrodni podobano się Bogu zawieść ciebie!

## 3.

## E d m u n d.

**P**omimo szemrania niektórych Cyganów, stało się wszystko podług wniosku starój Kamardy. Bezbronny mały Edmund był po kolei niesiony przez Cyganki i tak mocno w płaszcz z grubego płótna otulony, że ból na rękach i nogach od tego, jeszcze rzesistsze łyzy mu wyciskał. Z Nadą trudniej było Cyganom przyjść do końca, ten gryzł, drapał i wyl przeraźliwie.

„Tego hałaśnika zabiję, jeżeli się nie uspokoi,“ rzekła jego królewska mość.

„Tego nie uczynisz naczelniku, bo on nam potrzebny,“ ozwała się Kamarda.

„A tak dla téj woskowej lalki. Pytam was, co rodzice byliby z tym chłopcem poczęli? radzi oni zapewne, że go się w ten sposób pozbyli i nie pomyślą nawet o poszukiwaniu go,“ rzekł Żoi.

„Żoju, tyś nie matką, ty tego nie pojmujesz,“ wtrąciła jedna młoda niewiasta.

Uczucie miłości macierzyńskiej mieści się w sercach nawet tych istot, lubo one nie mają innego wyobrażenia o powinnościach matki, jak lwica, która wychodzi po zdobycz na pokarm dla swych młodych. Jak szczęśliwi są ci, którzy posiadają lub posiadali matkę, której nauki i przykłady poprowadziły ich ku Bogu; w której

miłości poznali od pierwszej życia chwili, nieporównaną opiekunczą miłość Boga dla swego stworzenia.

Cygani stanawszy na ziemi hiszpańskiej rozbili swoje namioty wieczorem w pobliżu małej wioski, daleko od granicy, nad brzegiem rzeczki. Obrali umyślnie tę późną dobę, bo spędzili przez to noc spokojną. Nazajutrz rano spostrzegli dopiero mieszkańcy wioski, jakich nieproszonych gości dostali. Nie bez obawy spoglądano też na nich, a Alkada (wójt miejscowy) był wysłany dla zbadania, w jakich zamiarach przybyli do nich.

Przebiegły Żoi przewidział to i przysposobił się na egzamin. Edmund i Nada zostali ukryci w głąb' pojazdu, pomiędzy psów aktorów; zresztą cała banda była w ruchu. Latali i czyścili kotły lub drutowali garnki kilku odważnym wieśniaczkom, które się ośmieliły powierzyć im tę robotę. Biedny Edmund chciał z początku krzyżeć, lecz gdy mu włożono w usta wielki kawał drewna, umilkł nieborak i obiecał być spokojnym, byle go od téj męki uwolniono. Nada przytulił się do swego pana z postanowieniem bronienia go od wszelkiego napadu; lecz widząc, iż mu się nic złego nie dzieje, zachował się spokojnie.

Alkada obznajomiony z obyczajami Gitanosów, nie okazał im żadnego podejrzenia, tylko pytał ich po prostu, zkąd idą, dokąd się udają, czy dobre interesa robią i t. p. Na te pytania naczelnik odpowiadał z największą pewnością. Mówił, iż idą z Witoryi i udają się do jednego małego miasteczka, by ztamtąd zabrać córkę jednej z kobiet ich bandy, i że potem udadzą się do północnej Francji. Że są zadowolnieni z swego zarobku, który im ich przemysł przynosi, że ich widowiska, przez psów wyprawiane, bardzo się ludziom podo-

bają. Potém prosił o pozwolenie Alkady do przedstawienia ich w téj wiosce.

„Dobrze, moi panowie,“ odpowiedział Alkada, „będzie nam to bardzo przyjemnie, ale prosimy, byście cudzej własności nie uważali za waszą, byście się troszczyli bardziej o wasze kieszenie niżeli o nasze, i nie myśleli, iż jesteśmy tu bez opieki i pomocy zbrojnej. Wieś nasza jest dość zaludnioną, a przyległy zamek ma załogę dobrze uzbrojoną. Jesteśmy więc w stanie dać wam przykładową naukę, co to jest cudza własność, o czém plemię wasze tak często zapomina.“

Żoi kłaniał się niziuteńko i prosił uprzejmie, by jego ludzi nie sądzono podług innych Gitanos i zapewniał, iż oni są wzorem uczciwości i dobrych obyczajów.

„Nie mam ani jednego knuta pomiędzy wszystkimi memi sprzętami,“ dodał, „a to dowodzi, jak są dobrzy i łatwi do prowadzenia ludzie moi.“

Alkada uśmiechnął się na to, wiedział bowiem z doświadczenia, co sądzić o podobnych zapewnieniach Cyganów. Prosił potém o prywatne, bezpłatne przedstawienie widowiska, by mógł poznać zdatność ludzi i psów, zanim zezwoli na publiczne przedstawienie.

Téj przyjemności nie odmówiono mu i niebawem zostali czworonożni aktorowie powysadzani z budy, wyjąwszy mruczącego Nada; kostiumy ponaprawiane, teatr urządzony i wszystko w okamgnieniu tak dalece gotowe, iż tylko podniesienia zasłony zbywało.

Tymczasem Alkada przechodził się po całym obozie, w czém mu się nikt nie śmiał sprzeciwiać. Zwiedzał każdy namiot z osobna, oglądał wszystko i badał o pochodzenie każdej niemal rzeczy, i powtarzał nieustannie pomimo zapewnień Żoja: „Mój czcigodny monarcho, niepodobno, żebyście uczciwym sposobem nabyli te

wszystkie bogactwa.“ Dodać tu jednak należy, że te bogactwa składały się najwięcej ze starych gratów.

Nakoniec zbliżył się Alkada do pojazdu, a włożywszy weń głowę, zazierał ciekawie co się w nim znajduje; co Nada swém przeraźliwém szczekaniem oznajmił. Była to chwila krytyczna i nabawiła niemałego strachu króla Cyganów.

„Tutaj chronią się zwykle nasi aktorzy,“ rzekł niby żartobliwie, „są to ich kulisy i ubieralnie.“

„Zdaje się, iż jeden jeszcze tam został.“

„Tak, tak jestto uczeń, niegodzien dotąd ukazać się publiczności. Potém jest tam téż chore dziecko, matka kładzie je do pojazdu, bo mu tutaj spokojniéj.“

Kilka przykrych chwil tak minęło, kiedy Kira, która szła za nimi, wyrwała, z zwykłą sobie przytomnością umysłu, króla Żoja z tego ambarasu, bo rzucając się z gwałtownością pomiędzy Alkadę i pojazd, zawołała: „Moje chore dziecko śpi tutaj, nie zaglądaleście tak ciekawie, bo ten przeklęty pies gotów je obudzić swém szczekaniem.“ Godna córka Kamardy mówiła te słowa z tak doskonale udaną troskliwością macierzyńską, w jéj rysach malowała się taka niespokojność, iż Alkada nie mógł wątpić o prawdzie, skinął ręką, by ją uspokoić i oddalił się od pojazdu.

Teraz rozpoczęło się widowisko i nader dobrze się udało. Psy tańczyły i odgrywały swe role z podziwienia godną umiejętnością. Alkada bardzo był zadowolniony i przyobiecał liczne grono widzów na wieczór.

Żoi odbierał te pochwały z pełną godności skromnością dyrektora teatru, lub aktora, który pewien jest swoich tryumfów.

„Zwykle nie zajmują się moi współrodacy podobnemi sztukami,“ rzekł z niejaką dumą, „ale ja chcąc uczi-

wie żyć na świecie i wymagając téż tego po mych podwładnych, wymyśliłem te komedye. Więcej mi one przynoszą niż kradzieże, które przecież nie są godziwemi.“

Wieczór sprowadził w istocie Cyganom świetne zgromadzenie publiczności i przyniósł im niemały zarobek, bo oprócz zapłaty wstępnego, pozbył się niejeden z widzów chustki, tabakierki, fajki, zegarka, wachlarza i t. p.

Banda udała się téj samej nocy w dalszą podróż, wysławszy naprzód bezpiecznego posłańca z pokradzionemi rzeczami do Barcelony, gdzie się zamysłano udać po odebraniu w przyległym miasteczku córki staréj Kamardy. Za pomocą przyjaznych sobie odbieraczy, których Cyganie mieli wówczas we wszystkich niemal miastach, łatwo im było spieniężyć te zdobycze, bez zwrócenia na siebie uwagi policyi.

Mały Edmund, znużony ciągłym wołaniem mamy i bony, usnął nakoniec. Nie pojmował on swojego losu, bo jego ślepotą chroniła go od tego. Tęsknił za czulym pielęgowaniem, za pieczyotami matki, do których tak był przywykły; za wonią róż, za szmerem fontanny, za łakociami i za swém miękkim posłaniem, ale, że czuł około siebie wiernego Nadę, więc mniemał, iż nie na zawsze stracił to wszystko, na czém mu teraz zbywało. Rozumiał, iż to było tylko krótkie rozstanie, iż powróci wkrótce do mamy, Nannety i kwiatków. Myśl o straceniu na zawsze wszystkiego co kochał, nie powstała nawet w duszy biednego dziecięcia.

Edmund nie był ciemny z przyrodzenia, lecz mając zaledwie pół roku stracił wzrok w skutek zapalenia ocz, które mu na oba oczka łuszczkę sprowadziło. Najznakomitsi lekarze leczyli go, i uznali za jedyny środek operacyą, za którój skutek atoli nie ręczyli. Zbyt czuła

matka nie śmiała poddać jedyne go, ukochanego dziecięcia téj bolesnej operacyi. Wolała go widzieć ciemnym na całe życie, niż go wystawić na kilkogodzinne męczarnie. Lecz tak zaślepioną jest często miłość macierzyńska!

Opatrzność odbierając Edmundowi wzrok, nagrodziła go zachwycającą pięknnością i rzadką bystrością rozumu. Wychowany przez matkę anielskiej dobroci i bonę rozsądną, posiadał szlachetność uczuć i głęboką pobożność, nie zwykłą w tak młodym wieku. Modlił się codziennie do Matki boskiej i dzieciątka Jezus, rozmawiał nawet z niemi, jeżeli tak rzecz można. — Nauczono go kochać ich i czcić nadewszystko, a on, dla którego wszystko było idealnem, wyobraził sobie obraz Matki boskiej i jój syna, podług życzeń swego dziecinnego serca. Jego własna matka była dla niego równie niewidzialną jak i sam Bóg; dla tego właśnie wystawił on go sobie tém bliższym. Przed tém dziecięciem było wszystko zakryte tajemniczą zasłoną, cała przyroda była dla niego lubą zagadką, którą tylko przeczuwał. O nim można było powiedzieć: „On wierzył ślepo!“

W wieczór, kiedy publiczność sypała huczne oklaski aktorom, jadł Edmund ze łzami czarny kawałek chleba, namaczany w mleku, którym, jak dawniej swoim wykwintnym pokarmem, dzielił się z Nadą. „Biedny Nado,“ mówił stłumionym głosem, „kiedyż wrócimy do mamy. Kochany Jezus zaprowadzi mnie do niéj, lecz musimy być spokojni, by mi znów ci źli ludzie tego drewna nie włożyli w usta.“ Po skończonej lichéj wieszce chciał ukłęknać, ale to na tém nieznanym miejscu tak mu było trudném, iż zaplątawszy się w swą długą sukienkę upadł. — Lecz zdołał się podnieść i złożył rączki do modlitwy. Gdy tak klęczał z obliczem wzniesionem do

nieba, z rączkami pobożnie złożonemi; w tak dziwaczném otoczeniu można go było wziąć za anioła pokoju, przebłagającego Boga za zbrodnie ludzkości. „Usnę teraz Nado, i ty śpij spokojnie; jutro wrócimy może do mamy,“ rzekł chłopczyna po skończonej modlitwie. „O Boże jak ona będzie tęskniła bezemnie! O drogi Jezu, nie dozwał, by się nadto trapiła, by nie zachorowała, tak jak w przeszłym roku. Wówczas mówiła, iż umrze i pójdzie za papą, a ja zostanę sierotą. Może już teraz jestem sierotą,“ dodał z westchnieniem. Edmund mówił to wszystko w języku owych okolic, któremu nie zbywa na wdzięczném i słodkiém brzmieniu, a który w ustach tego ślicznego dziecięcia był zachwycającym. Serce najtwardsze nie mogło go było widzieć i słyszeć bez wzruszenia; lecz niestety, był on w rękę nikczemnych złoczyńców, u których podła chęć zysku przytłumiła wszelkie inne uczucia; jego los podły wszelkich ludzkich obrachowań, bardzo tylko smutnym mógł być w dalszym biegu.

Biedny chłopiec układał się jak mógł najlepiej obok swego wiernego obrońcy. Pocałował medalionik Matki boskiej, który mu matka zawiesiła na szyi na sznurku z jej włosów. Przynętem był jeszcze jeden medalionik z obrazkiem wystawiającym w miniaturze człowieka w pysznym wojskowym ubiorze i niewiasty w hiszpańskiej mantyli. Wziął ten swój skarb w obie rączki i tak zasnął.

Około północy Cygani upakowali bagaże, powsadzali aktorów na stronę i ruszyli w dalszą drogę. Kira usiadła w pojeździe obok chłopca, który we śnie czasem tylko niezrozumiale wymawiał słowa.

Gdy się nazajutrz mieszkańcy wioski zbudzili, już Gitanos byli od niej daleko.

## 4.

## M o i n a.

Powoli dla niecierpliwój Kamardy odprawiała się podróż i dopiero późno w wieczór przybyła do miasteczka, gdzie się znajdowała jój córka, którą teraz odebrać miała. Gwałtownie biło jój serce na myśl osiągnięcia znowu najmłodszej córki, tego dziecięcia boleści, które w dzieciństwie opuścić musiała. Mąż Kamardy, odważny Cygan, był złapany przez strażników pogranicznych, przy przemycaniu towarów z Anglii do Francji, co wówczas bardzo było ostro zakazaném. Po zaciętój walce został raniony w piersi, lecz pomimo tego uciekł i przybył do miasteczka, gdzie był zostawił młodą swą żonę z córką dwuletnią. Znalazł ją u jednego sprzymierzeńca ich bandy, a walczywszy ze śmiercią noc całą, skonał, gdy pierwsze zorze jutrenki zajaśniały na niebie.

Sprzymierzeniec cygański zatrzymał Kamardę, która wtenczas była jeszcze młodą i ładną, kilka tygodni w swym domu, lecz gdy banda ich oddaliła się na długo i nie było żadnej pewności czy kiedy powróci w owe strony, niecny człowiek, nie zarobiwszy wiele na skradzionych przedmiotach i nie bojąc się zemsty Cyganów, sprzykrzył sobie Kamardę i wypędził ją z domu wraz z córką.

Był to dzień dżdżysty i ponury. Wiatr i deszcz gwałtownie przechodzących spieszo przez ulice miasteczka. Biedna Kamarda bez przytułku i chleba siedziała na rogu jednej uliczki i płakała gorzko; nie błagała jednak o litość przechodzących i mówiła tylko niekiedy do siebie: Cóż się zemną stanie?

Wtém pani, w wykwinnym ubiorze, z welonem

czarnym na twarzy, z służącym w bogatej liberyi za sobą, przechodziła tamtędy i usłyszała ciche narzekanie żebraczki.

„Cóż ci to biedna niewiasto?“ zapytała zatrzymując się przed nią.

„Ach pani, jestem z mém dzieckiem bez przytułku i pożywienia.“

„Lecz któż jesteś, z kąd przybywasz?“

„Jestem Cyganką, pani, nie zapieram się tego. Mój mąż umarł, moi współrodacy odbiegli daleko, nie wiem dokąd; na całym świecie nie mam opiekuna, ani przyjaciela.“

„Pójdź zemną biedna kobieto,“ rzekła nieznajoma pani, „straciłam jak i ty męża mojego, jak ty jestem opuszczoną i samotną. Chcę się przynajmniej dzielić z tém, co mi zostawiła Opatrzność, z nieszczęśliwymi i potrzebującymi pomocy.“

„Ale racz rozważyć pani,“ ozwał się służący, rzucając znaczące spojrzenia na Cygankę.

„Daj pokój Józefie,“ odpowiedziała pani, „trzeba wesprzeć nieszczęśliwego, nie zważając na jego osobę, nie badając czy zasługuje na to. Inaczéj, czémże byłoby miłosierdzie? Tą to drogą najłatwiej sprowadzi się obłąkanych do Boga, a jego to jest wolą, byśmy im rękę podali.“

„Ale to Cyganka — pani.“

„Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci nań kamień — powiedział nasz Zbawiciel, Józefie.“

Nieznajoma pani była to Francuzka, emigrantka, nazwiskiem hrabina Peronville. Kazała iść za sobą Cygance, do której przyczepiła się z płaczem mała Kira.

Stary Józef szedł rad nie rad za niemi; przybywszy do małego domku otworzył drzwi i wprowadził swą

panię z tak mu niemiłym towarzystwem. Pozamykał i pozasuwał z największą starannością drzwi i okna, i przedsięwziął mieć się na baczności.

Hrabia Peronville był w czasach postrachu zamordowany w Tuluzie, jego wdowę wyratował z niebezpieczeństwem życia stary wierny sługa Józef i uciekł z nią do Hiszpanii, gdzie usiedli w małej mieścinie. Z przedaży zabranych ze sobą klejnotów, kupiła sobie tutaj domek hrabina, i żyła w największej samotności, szukając pociechy w dobrych czynach i modlitwie.

Z rozmów Cyganki poznała hrabina, iż ta nie była jeszcze tak zepsutą, jak się tego spodziewać można było. Obiecała więc pozostawić ją u siebie, pod warunkiem, iż się będzie uczyła przepisów religii chrześcijańskiej i da się z dzieckiem swém ochrzcić.

Kamarda przystała na to, a hrabina zajęła się z usilnością tym czynem miłosiernym. Starła się ona o dobro duchowne i cielesne Cyganek, i wkrótce przyprowadziła do tego, iż obiedwie przyjęły w kościele sakrament chrztu świętego.

Wkrótce potem przysła na świat druga córka Kamardy. Pani Peronville sama podała ją do chrztu ś. i dała jęj imię Maryi, które matka z właściwym gustem Cyganów do miękko brzmiących wyrazów, na Moinę przerobiła.

Dziecię wzrastało zdrowo i pięknie, lecz pół roku upłynęło zaledwie, kiedy Kamarda, podniecana niespokojną, właściwą Cyganom chętką do włóczącego się życia, przedsięwzięła opuścić swą dobrodzięjkę. Gdy raz banda Cyganów przybyła do miasteczka, Kamarda zeszła się z niemi, a usłuchawszy chętnie ich namowy, oświadczyła hrabinie swe postanowienie.

Ta, boleśnie tém zdziwiona, napróżno łożyła wszelkie usiłowania, by ją odwrócić od tego.

„Kirę zabieram ze sobą,“ rzekła Kamarda, „ale za to, żeś pani była dla nas tak dobrą, zostawię ci Moine jeszcze na lat kilka.“

„Przyrzecz, że mi ją na zawsze zostawisz,“ rzekła hrabina, „chciałabym przynajmniej jedną duszę uratować.“

„Zostawię ją pani do siedmiu lat, dłużej nie. Nie mogę przecież własnego dziecka zostawiać w cudzych rękach.“

Pani Peronville prosiła ją tak bardzo, obiecywała jój tak korzystne warunki, iż ta uporczywa kobieta, która nic z wzniosłej, udzielanej jój, nie pojęła nauki, zobowiązała się zostawić swe dziecię przynajmniej tak długo hrabinie, dopóki ta w Hiszpanii mieszkać będzie. Gdyby zaś hrabina do Francji powrócić miała, wtenczas Kamarda miała odebrać córkę swą napowrót. Emigrantka chętnie przystała na ten warunek, który bardzo się zdawał niepodobnym. Bo wówczas nie było żadnych widoków, by kiedyś Burboni na tron francuzki wrócili, a w tym tylko razie wolno było powrócić do kraju wygnanym rodzinom.

Gdy ta ugoda nastąpiła i została podpisaną przez Kamardę, przyłączyła się ta z swą starszą córką Kirą do bandy, w której dowódczą Żoi był już wtenczas. —

Zawsze, gdy banda zwiedzała te okolice, Kamarda odwiedzała swą córkę i jój dobrodziejkę.

Moina, pod okiem swój przybranéj matki, wyrastała na dziewczynę cnotliwą i wykształconą we wszystkich umiejętnościach potrzebnych kobiecie, a jój matka pyszniła się z takiej córki, jak gdyby przykładała się w czémkolwiek do jój wychowania. Jedyném téż jój życzeniem

było, mieć to piękne dziecko przy sobie, z którego tak się chlubiła.

Gdy zdarzenia polityczne odbiły się o jęj uszy, gdy się dowiedziała, iż Ludwik XVIII odzyskał koronę, wtenczas zawołała z niepochamowaną radością: „To dobrze, to wybornie! teraz odzyskam mą córkę.“

Kira była niezmiernie zazdrosną na siostrę; nie posiadała bowiem nic z tych przymiotów, które jęj siostrę zdobiły. Upośledzona od natury, wyrosłszy bez wszelkiego wychowania, zapomniała dawno o religii chrześcijańskiej, której święte znamię włożone było na nią w dzieciństwie, a błędy i zdrożności jęj współrodaków, zagłuszyły w jęj sercu wszelkie wspomnienia wzniosłych nauk, które niegdyś słyszała.

Kłóciła się z matką, gdy ta wspomniała o Moinie, i przedsięwzięła pomścić się na siostrze za swoje poniżenie.

Pani Peronville kochała swą przybraną córkę bardziej niż własna jęj matka. W tęg dziewczynie wzrastała dla nięj nadzieja szczęśliwęg przyszłości, a myśl, iż będzie może zmuszoną oddać ten klęjnot Kamardzie, i że ta czysta perła będzie kiedyś wrzuconą pomiędzy niegodziwych współrodaków swęj matki, napełniała ją boleścią i przestachem. Moina nie dzieliła tych uczuć. Kochała w prawdzie z całą czułością dobrego jęj serca swą przybraną matkę, lecz jęj młoda wyobraźnia wzbudziła w nięj myśl, iż Bóg obrał ją sobie, by matkę, siostrę i całą bandę tych złoczyńców zwróciła ku niemu. Myślała o tęg, jak o świętęg posłannictwie, i mówiła często do swęj przybranęj matki:

„Jeżeli cię będę musiała opuścić, droga moja opiekunko, będzie to zapewne wolą Boga, który jeżeli mnie

do tego wielkiego dzieła przeznaczył, doda mi siły do wykonania go.

„Biedni Gitanos nie znają nic prócz obyczajów swych przodków, i grzeszą zapewne tylko z niewiedomości i nawyknienia do złego. Powiem im, o czém nie wiedzą. Oświecę ich naukami naszej świętej religii, a ona wzmocni ich do znoszenia nędzy i cierpień, bez uciekania się do kradzieży i zbrodni. Poszczęści mi się w tém, jestem pewną, a dosyć to już będzie dla mnie dobrego, jeżeli zdołam ocalić matkę moję, która mnie tak kocha.“

Hrabina nie sprzeciwiała się tym słowom Moiny, robiła jój jednak niejakie przedstawienia, które w nięj miłość dla Moiny i myśl o swém osamotnieniu wzbudzała. Atoli była ona zbyt religijną i szczerze pobożną, by z widoków samolubnych przeszkadzać młodej chrześcijance w jój pięknych zamiarach. Być to przecież mogło, iż była do tego dzieła powołaną od Boga.

„Spodziewam się jednak, Maryo kochana,“ mówiła tylko czasem, iż nie będzie nam potrzeba rozłączać się z sobą i że ja tutaj zakończę dni moje.“

„Ale gdybyś matko zmuszoną była powrócić do ojczyzny?“

„Któżby mnie mógł zmusić do tego?“ odpowiedziała hrabina. „Do Francyi mogłyby mnie tylko sprawy majątkowe nęcić jeszcze, straciłam tam bowiem wszystkie osoby drogie sercu memu; a wiesz dobrze, że pieniądze nie mają dla mnie wielkiej wartości.“

Gdy czasy restauracyi nadeszły, odebrała hrabina list od swego synowca, który się był z ojcem dostał do Niemiec. Zapraszał on ją usilnie, by powróciła do Tuluzy, gdzie na nią znaczny przypadał majątek. Jego ojciec zniszczony był do szczętu przez nieszczęśliwe spekulacje, i całą nadzieję pokładał on w swój bogatej

ciotce. Miał wprawdzie siostrę zaślubioną bardzo bogatemu grandowi hiszpańskiemu, lecz ta nic dla niego uczynić nie mogła.

Względy rodzinne, miłość rodzinnéj ziemi, walczyły długo z przywiązaniem do Moiny w sercu hrabiny. Nakoniec te pierwsze zwyciężyły i hrabina dała znać Kamardzie, iż nadszedł czas, w którym, podług umowy, może odebrać swą córkę. Było to wielką ofiarą dla hrabiny, lecz ona była niewiastą chrześcijańską, a miłość boża nadała jéj siły i męstwa.

Kamarda szalała prawie z radości na tę wiadomość. Miała odebrać swą śliczną córkę, swe złote dziecko, która tyle wiedziała i umiała. Nikt się nie miał ważyć przybliżyć do niéj. Jéj córka była prawie świętą, i zostać nią miała, nawet wśród duchów nieczystych. Miała chodzić do kościoła na msze i nieszpory, i nikt nie miał jéj tego zabraniać!

Ale Żoi, podburzony przez Kire, udawał, jak gdyby gniewał się o to, i zabraniał Kamardzie sprowadzić Moinę do bandy, aż do chwili, w której, jakeśmy to w początku téj powiastki wspomnieli, złapał się sam, obiecując Kamardzie spełnić każde jéj życzenie, w nagrodę za ukradnienie Edmunda.

Jak tylko banda przybyła do miasteczka, udała się Kamarda, pomimo wieczornéj doby, do domku hrabiny Peronville. Niepodobno jéj było czekać aż do rana, musiała natychmiast zobaczyć swą córkę.

Głośném stukaniem zażądała być wpuszczoną, co téż po niejakiém wahaniu się, Józef z niechęcią uczynił.

„Ach, toś ty Kamardo,“ rzekł; pani i biedna panienka przelekną się niemało.“

Cyganka nie dała się odstraszyć tém przyjęciem,

lecz pobiegła prosto do salonu, gdzie zastała swą córkę, zajętą szcieniem dla ubogich.

Pani Peronville, jako rostopna niewiasta, zważając na stósunek do świata Maryi, wychowała ją więcej w surowych zasadach religii chrześcijańskiej, niż w przyjemnościach życia światowego. Nie wykształciła ją na damę salonową, ale na niewiastę gotową ponieść, z miłości dla Chrystusa, choćby najsrozsze boleści.

Gdy matka weszła do salonu, Moina wstała i powitała ją z spokojną uprzejmością, by matce uczynić zadosyć, a opiekunce nie ubliżyć. Namiętne uściśnienia Cyganki przeraziły ją prawie, i usunęła się mimowolnie mówiąc:

„Kochana matko, jest tu nas więcej.“

„Przychodzę po moję córkę,“ rzekła Kamarda, obracając się z niskim ukłonem do hrabiny.

„Czy jeszcze tego wieczora?“ zapytała ta, z widocznym pomieszaniem.

„Natychmiast pani.“

„To być nie może, wyjeżdżam dopiero za dwa tygodnie, a nie jeszcze do podróży nie przysposobione. Obiecałaś przecież zostawić mi ją aż do chwili mojego odjazdu.“

„To prawda; lecz zaszły zdarzenia, które nas naglą. Opuszczamy ten kraj i może dopiero po wielu latach doń wrócimy. Musisz mi pani dzisiaj oddać Moinę.“

„O moja matko chrzestna!“ zawołała Moina, rzucając się z płaczem w objęcia hrabiny. Ta uściskała ją w milczeniu, modląc się w duchu do Boga o moc, aby mogła wspierać słabą dziewczynę w godzinę téj bolesnej próby. Bóg wysłuchał ją.

„Kiedy twoja matka żąda tego, drogie dziecię, trudno ję się sprzeciwiać. Kilka dni mniej lub więcej nie

czynią wielkiej różnicy, a posłuszeństwo jest pierwszą powinnością dobrej córki. Zapakuj swoje rzeczy w kuferek, który stoi w moim pokoju. Jest on twoją własnością.

„Ale droga pani.“

„Uczyn, jak ci powiedziałam; jest on dawno dla ciebie przeznaczony.“

Obiedwie niewiasty patrzyły za odchodzącą Moiną, potem hrabina kazała usieść Kamardzie i rzekła:

„Oddaję ci córkę twoją, ponieważ koniecznie tego wymagasz, lecz czynię to ze drżeniem. Jest ona tak cnotliwą, tak czystą; o nie skażcie jej waszém zatrutém tchnieniem!“

„Moję córkę zepsuć,“ ozwała się żywo Kamarda, „o nie lękaj się pani o to; ja sama przestałabym ją kochać, gdyby przestała być cnotliwą. Co mnie najbardziej przywiązuje do niej, jest to właśnie jej wyższość nad nami. Od chwili, w którejbym ją splamioną widziała, uważałabym ją jak nas wszystkich Cyganów i jużbym jej kochać nie mogła. Pysznię się Moiną, i dla tego tylko kocham ją tak bardzo.“

„Możesz być słusznie dumną na taką córkę, bo ona posiada wszelkie przymioty, które usprawiedliwiają to uczucie. Jej dusza, jej serce i rozsądek, nie mogą być doskonalszemi. Ty wiesz, jak ona jest pobożną,.... gdyby się kiedy tobie miała stać podobną!.... gdyby miała zapomnieć.“ ....

„Nie zapomni.“

„Nie będziecież wy jej na przeszkodzie w wypełnieniu jej obowiązków religijnych?“

„Przysięgam pani, iż nikt się tego nie waży.“

„Potrafisz ją uchronić od urągania i złośliwości tych współrodaków?“

„Potrafię.“

„A gdyby wasze życie Moinie nieznośnem było, gdyby do ciebie przywyknąć nie mogła, obiecujesz oddać mi ją napowrót?”

„Nie. Jestem zazdrosną na ciebie pani. Jestem jój matką i muszę być od niej kochaną. Pani nie ujrzyś już nigdy Moiny.“

Hrabina zbladła, lecz i to uczucie boleści ofiarowała Bogu; mówiła dalej:

„Chcesz ją przymusić do życia, którego nienawidzi; chcesz ją zamęczyć powoli; i to nazywasz miłością macierzyńską?”

„Gdyby moja córka nie mogła żyć po naszymu, i czuła się tak nieszczęśliwą, iżbym się musiała z nią rozłączyć, wolałabym wydać ją za mąż, albo oddać ją jój Bogu, do którego się modlić nauczyła. On jój zastąpi wszystko; tak mnie jak i ciebie pani.“

„Przyrzekasz to?”

„Przysięgam na głowę mojej córki. Ona sama będzie sobie mogła los obrać.“

„O, teraz rozłączenie z nią mniej mi bolesnóm będzie. Ta dziewczyna ma żywą wiarę, silną duszę; mam więc nadzieję, iż nie da się zgnębić przykremu losowi. Tutaj jest mój adres. Gdybyś twe zdanie zmienić miała, i dla Maryi lub dla siebie potrzebowała jakiej pomocy, wtenczas udaj się do mnie. Gdy twoja córka dojdzie do lat dwudziestu czterech, dowie się o moich ostatnich rozporządzeniach.“

„Dobrze. Dziękuję pani.“

„Lecz czy doprawdy chcesz ją o tój późnej zabierać porze? Czy mi jój już ani tój jednéj nocy nie zostawisz? Będzie to bardzo przykro temu dziecku, rozstać się tak nagle zenną. Od chwili urodzenia swego nie była jeszcze ani dnia bezemnie.“

„Wielkie to było szczęście dla pani,“ rzekła matka z wyrazem niesłychanej zazdrości.

Teraz powróciła Moina.

„Czy mi ją zostawisz aż do świtu?“ zapytała znowu hrabina.

Kamarda milczała.

„Moja dobra matko, proszę cię o to,“ rzekła Moina z rozrzewnieniem.

„Nie,“ rzekła Cyganka stanowczo. „Ty ją zanadto kochasz, pójdziemy natychmiast.“

„Maryo, usłuchaj matki, jak mnie dotąd słuchałaś. W tym razie nie chcę ci dać przykładu wahania się. Bądź więc zdrowa.“

Moina rzuciła się znów w objęcia swój przybranój matki, która ją serdecznie uścisnęła i łzami rzewnymi pożegnała.

„Oby cię Bóg błogosławił moje dziecię,“ mówiła hrabina wśród łez. „Niezapominaj nigdy o Bogu, o twój przybranój matce i o zasadach, które w ciebie wpoilał. Ale staraj się zastósować do twego nowego położenia, usiłuj przypodobać się matce i być jój radością. Idź za tym wewnętrznym głosem, który ci powiada, byś się starała oświecić tych zaślepionych. Czy ci się to poszczęści lub nie, uczynisz zawsze co Zbawiciel nasz nakazuje. On dał swe życie za grzechy nasze, proś go więc, by ci zezwolił poświęcić twe życie jego służbie. A teraz idź z Bogiem kochana Maryo!“

Cyganka ocierała oczy i widoczna walka odbywała się w jój duszy. To zajęcie zrobiło na niój głębokie wrażenie. Miała wielką ochotę zostawić Moinę przy hrabinie do rana, lecz zazdrość jój opierała się temu. Nakoniec lepsze uczucie zwyciężyło.

„Zostańcie jeszcze tę noc ze sobą,“ rzekła idąc

Moina.

szybko ku drzwiom, jutro skoro świt przybędę po ciebie Moino.“

„O dzięki ci, droga matko,“ zawołała Moina; lecz Cyganka nie słyszała już tych słów, i nie widziała jak Moina uklękła przed swą przybraną matką i z łzami radości całowała jęj ręce. Te kilka ostatnich godzin minęły szybko na poufałej rozmowie.

„Nie wiem, czy będę mogła pisywać do ciebie kochane dziecię,“ mówiła hrabina, „boć ty nie będziesz miała stałej siedziby, i listów moich nie oddanoby ci może. Lecz ty możesz mnie zawsze uwiadomić o twém powodzeniu. Nie zaniedbuj tego i pamiętaj, że w każdym położeniu mój dom i serce moje są dla ciebie otwarte. Gdy dojdiesz lat 24, a życie pomiędzy Cyganami będzie ci nieznośne, możesz zawsze przybyć tutaj. Ten domek, ze wszystkiem co się w nim znajduje, należy do ciebie, i wiesz gdzie masz szukać legitymacyi w tym względzie. Wtenczas jesteś pełnoletnią, a prawa krajowe są w twojej obronie. Ile będzie w mój mocy będę cię chronić od wszelkiego ścigania i prześladowania. Dzisiaj musisz się poddać, atoli potrzebujesz do tego wielkiej mocy i możesz ją tylko dostać od Boga. Tylko jego łaska może cię wspierać i prowadzić. Módl się bez ustanku, uprzytomniaj go sobie i pamiętaj o tej pocieszającej prawdzie. W jakiegokolwiek położenie, w jakiegokolwiek doświadczenie, i w jakiegokolwiek złe dole Bóg nas umieści, wszystko posłużyć może do zbawienia. Bóg jest na każdym miejscu; możemy wypełniać przykazania jego, i żyć dla chwały jego, tak pomiędzy aniołami jak i pomiędzy czartami. Nie osłabnij w wypełnianiu twych powinności, a zmusisz niewiernych do tego, iż będą szanowali tego, czego naśladować niezdolają.

„Żywa wiara i życie bez skazy wzbudzają nawet w złoczyńcy szacunek! Wierz mi to moje dziecię i idź bez obawy, gdzie cię los powołał.“

Moina zachowała te przepisy życia głęboko w swém sercu; a towarzysząc jój w dalszych życia kolejach, zobaczymy, jakie owoce wydał zasiew chrześcijańskiego wychowania w duszy cygańskiego dziecka.

## 5.

## Dziecię boskie.

**B**rząsk dzienny zastał Kamardę u drzwi małego domku. Zastukała, i Moina sama otworzyła matce. Pani Peronville i Józef byli się oddalili, rozstanie minęło i na twarzy młodej dziewczyny łzów ślady były już osuszone. Przed przybyciem matki zmówiła Moina wspólną modlitwę z hrabiną i starym Józefem. Błagali razem Boga o miłosierdzie i pomoc, i ofiarowali mu swą boleść. Potém pobłogosławiła hrabina raz jeszcze swe ukochane dziecię, uściskała ją raz ostatni, dała Józefowi znak, by się także oddalił, i rzekła z udaną spokojnością: „Teraz Maryo czekaj na twą matkę.“

I tak się téż stało. Gdy Kamarda weszła do domu i uścisnęła swą córkę z gwałtownością namiętności, niepowściąganéj nigdy przez rozsądek, Moina starała się uśmiechnąć. Zniosła te niezwykle jój oznaki przywiązania z uprzejmością, przypominając sobie nauki swéj przybranéj matki i własne przedsięwzięcie.

„Jeżeli chcesz, kochana matko, możemy udać się w drogę,“ rzekła spokojnie, „mój tłumok możemy kazać nieść komu za nami.“

„Jakto, więc to wszystko należy do ciebie?“

„Dobra pani hrabina nie chciała mnie puścić bez tej wyprawy.“

„Czy te kufry mocne?“

„Widzisz, że obite żelazem.“

„Zatrzymaj klucze w kieszeni, ja dojrzę, by ci nie ukradziono.“

„A któżby miał kraść?“

„Wszyscy w naszej bandzie, nie wyjąwszy Żoja. Jestto dla nich zbyt wielka pokusa. Właściwie nie dobrze, byśmy te wszystkie skarby zabierały ze sobą. Oni gotowi zamordować nas dla nich.“ Moina zbladła.

„Więc ci ludzie są w istocie tak złymi?“ zapytała Moina.

„Moja dziewczynko, ty będziesz w dzień i w nocy ciągle przy mnie, inaczéj Bóg wie co by z tobą poczęli. Będą cię oni długo za obcą uważali.“

„Zapewniam cię matko, że mnie polubią.“

„Życzę sobie tego i spodziewam się. Ale są między nimi zazdrośnicy, zwłaszcza pomiędzy niewiastami. Wybierz sobie z rzeczy co najpotrzebniejszego, resztę zostaw tutaj. Zobaczemy później co nam czynić wypadnie. Przedewszystkiem nie bierz ze sobą nic z srebra, ani ze złota, gdyż tego nie zatrzymałabyś ani dni kilka.“

Moina nie mogła stłumić westchnienia. Z takimi nędznikami była skazana żyć odtąd. Była wystawiona na wszystkie ich niegodziwości i grubijaństwa. „Bóg mi dopomoże,“ pomyślała. Uczyniła, jak jéj matka radziła, postawiła z jéj pomocą kufry w kąciку w kuchni i napisała kilka objaśniających słów do hrabiny. Z małym pakiecikiem rzeczy, pomiędzy któremi znajdowało się kilka ksiąg do nabożeństwa i niektóre małej wartości,

lecz drogie jój pamiątki, udała się z matką do obozu cygańskiego.

Po drodze dawała Kamarda jój rady, jak się ma zachować względem swych nowych współtowarzyszy. Nie ukrywała także przed nią nieprzyjaznych uczuć Kiry dla niój, i wpływ, jaki ta na mniemanie drugich wywarła.

„Będzie cię to niemało trudu kosztowało, nim wybrniesz z tego, moje dziecko,“ mówiła Kamarda. „Powinnaś się obchodzić z nimi łagodnie, ale poważnie. Nie upieraj się z nimi, lecz nie ustępuj im w niczem. Muszą się bać ciebie, i szanować zarazem. W dzień miej się na baczności.“

Tak przybyły do obozu. Tam wszystko prawie było jeszcze we śnie pogrążonóm, wyjąwszy kilka niewiast, które przysposabiały dzieciom śniadanie.

„Ach! otóż idzie ta piękna księżniczka, cieszę się już widzieć ją przy robocie!“ ozwała się jedna z Cyganek.

„Dajcie pokój mojej córce,“ rzekła ostro obrażona Kamarda, „bo to zemną sprawa!“

„Pozwól mi matko przybliżyć się do tych kobiet i zapoznać się z niemi,“ rzekła Moina po cichu do matki i dodała głośniój: „Dobrze mówicie kobieto, zobaczycie mnie wkrótce przy robocie.“

„Zdajesz się dosyć roztropaną,“ rzekła inna z niewiast, „nie jesteś taka pyszna i wyniosła jak Kira.“

„Pomogę ci zaraz, dobra kobieto,“ rzekła Moina, „tylko wprzód przywitam się z Kirą.“

To małe zajście wypadło bardzo na korzyść Moinie. Cyganki widząc ją tak skromną i uprzejmą, zadziwiły się niemało, bo ją sobie zupełnie inaczej wystawiały, jako wychowaną u znakomitych ludzi.

Moina, prowadzona przez matkę, przyszła do pozajadu, w którym Kira i mały Edmund się znajdowali. Kira trzymała go na kolanach i w najgrubszy sposób drwiła z chłopczyka, że chciał pacierz mówić. Ujrawszy Kamardę, zaczerwieniła się i rzekła:

„A, otóż prowadzisz twą pobożną córkę, matko; możesz jej oddać zaraz tego małego krzykacza, który od rana do wieczora chciałby tylko odmawiać pacierze. Ci dwaj zgodzą się zapewne doskonale.“

„Kochana siostrzo,“ zawołała Moina, chcąc ją uściskać.

„Jestem twoją siostrą, to prawda; ale twą starszą siostrą, i życzę ci nie zapominać tego, inaczej rozmówimy się po mojemu.“

Kamarda otworzyła usta, by stanąć w obronie Moiny, ale ta prosiła ją czule, by jej pozwoliła porozumieć się z siostrą.

„Kiedy chcesz, więc niech tak będzie, lecz ty jesteś sto razy lepszą.“

„Nie matko, Kira jest taką twoją córką jak i ja.“

Kira podniosła głowę z zadziwieniem. „Ona udaje,“ pomyślała, „trzeba się do tego zastosować.“

„Ach, jakież to śliczne dziecię!“ zawołała nagle Moina, spostrzegłszy małego Edmunda. „Wielki Boże, do kogóż ono należy?“

„Do Pana Boga,“ ozwał się chłopczyzna, który się tej odpowiedzi nauczył był od matki.

Moina, uściskawszy go, rzekła: „Zapewne, że należysz do Boga, ale do kogóż więcéj?“

„Do mojej mamy,“ odrzekł Edmund.

„A gdzie ona?“

„Ja niewiem; zapewne bardzo daleko, chciałbym iść do niej,“ i ciężkie westchnienie wydarło się z piersi dziecięcia.

„Czemuż nie patrzysz na mnie?“

„Ja nigdy nie patrzę na nikogo.“

„To prawda, bo on ślepy,“ ozwała się Kira z grubijańskim śmiechem.

„Ciemny? to biedne dziecko jest ciemne? Czy to prawda?“

„Więc patrz, jeżeliś sama nie ślepa,“ rzekła Kira. Moina dotknęła się pięknych jego powiek, lecz te się nie podniosły. „Biedne dziecko,“ szepnęła Moina.

„Biedny Mundzio,“ powtórzył chłopczyk.

„Edmund, jakie ładne imię, więc Edmund imię tobie, ale jak imię twój matce, twemu ojcu?“

„On należy do naszej bandy i niema innego nazwiska, nie potrzebujesz go badać o to,“ rzekła krótko Kamarda.

Moina niezrozumiała tych słów, domyślała się w tém jakiej tajemnicy, nie przeczuwała jednakże okropnego jój znaczenia. Chociaż słyszała często o niegodziwości swego plemienia, nie mogła jednak jój czysta dusza objąć całej nikczemności, i okrucieństw, które ich do wszelkich zbrodni nakłaniały. Postanowiła odkryć tę tajemnicę, by dopomódz dziecieniu, atoli teraz nie pytała więcéj.

„Czy ty matko masz pod twoim dozorem to dziecko?“ spytała tylko.

„Dotychczas ja i twoja siostra; odtąd ty nam w tém pomożesz.“

„O bardzo chętnie.“

„Ale dostanie on jeszcze innych nauczycieli. Ten piękny panicz musi się nauczyć na chleb zarabiać.“

„Już teraz?“

„Tak, on i jego leniwe psiątko. Żoi rozporządził,

iż obaj muszą się publicznie prezentować, gdy przybędziemy do Barcelony. Jutro zaczną się uczyć.“

„Najprzód musi się pies nauczyć grać komedye, tańczyć, strzelać z fuzyi i udawać zdechłego. To ładne zwierzątko przynęci pewno wiele ludzi, gdy się wyuczy.“

„Biedne zwierzę!“

„Czemu biedne? alboż on lepszy od drugich, iżby nie miał pracować?“ rzekła opryskliwie Kira.

„A dziecko?“

„Z dzieckiem to co innego,“ rzekła Kira. „On potrzebuje się tylko pokazać, zaśpiewać, nauczyć się na pamięć kilka wierszyków, by w ludziach litość obudzić. Potém będzie obchodził z kapelusikiem, pies zaś z tamborynem, i podług wszelkiego podobieństwa zarobi przez to znaczne summy pieniędzy. Kobiety pokochały się w jego ślicznych włosach i miłej twarzyczce; szkoda tylko, że musi chodzić w łachmanach.“

„Jako w łachmanach, ten śliczny aniołek?“

„Czy rozumiesz, żeby mu dano aby szeląg, gdyby się pokazał w tym wykwintnym ubiorze, który teraz ma na sobie? Myśleliśmy już o tém uczyć go tańczyć na linie; wtenczas mógłby chodzić w sukniach z galonami, ale przy jego ślepocie, kto wie, czyby się kwalifikował do tego. Zresztą, zły matka zrobiła interes z tém dzieckiem.“

Moina nie żądała objaśnienia téj frapującej uwagi; nie chciała przerywać siostrze jój mowy, lubo bezwstydnym sposob, w którym ona o tém rzemiośle mówiła, oburzał ją do żywego, i okazywał, jak wielka jest różnica między uczciwym zarobkiem a podłą żebranią. Błagała tylko gorąco Boga, by jój dodał siły i mocy do przedsięwziętego zamiaru poprawienia tych ludzi.

Kamarda przywołała teraz Moine, by się z nią udała

do króla, bez której to wizyty nie mogła być przyjętą do bandy.

Žoi, znajdował się w swoim namiocie. Nie wstał wcale na ich powitanie. Wazalowie, którzy otaczali jego królewską mość, zaczęli cicho rozmawiać, uśmiechając się, i owinęli się z wytworną niedbałością, podług przykładu króla, w swe wytarte płaszcze. Dowódzca palił tytuń z pięknej, kosztownej, bez wątpienia skradzionej lulki, a spoglądając na Kamarę z właściwym sobie wyrazem przebiegłości, rzekł, wskazując ręką na jej córkę: „Czy to ona? Nie straszna!“

„To się rozumie,“ rzekła pysznie matka.

„Cóż ty tu zamysłasz począć?“ zapytał Žoi.

„Wszystko, przezco mogę się stać użyteczną.“

Król skinął głową na znak zadowolenia; potem wypuścił z fajki kilka wielkich kłębów dymu i rzekł:

„Musisz sobie wśród nas sama na chleb zarobić,“ rzekł po chwili.

„To mogę, i chętnie uczynię.“

„Jakież sztuki umiesz?“

„Nie umiem żadnych sztuk, lecz umiem użyteczne roboty.“

„Co nazywasz użyteczną pracą?“

„Co przystoi dziewczynie w mojem położeniu.“

„Co rozumiesz przez to?“

„Umiem szyć, haftować, gotować i inne zatrudnienia gospodarcze.“

„Co? Wychowana u wielkiej pani i nie umiesz śpiewać, grać, tańczyć; nic, czém się znakomitsze panie zajmują.“

„Prawda, zem wykształcona przez wielką panię, ale ja nią nie jestem, ani przeznaczona stać się nią kiedyś. Moja opiekunka wykształciła mnie jako pocziwą dzie-

wczyne, i taką chęć żyć i umierać. Ona uczyniła mnie zdolną obéjść się bez cudzej pomocy i wyżywić w każdym położeniu. Cóż mi więcéj potrzeba?”

Kamarda spojrzála na króla, jakby chciała mówić:  
„Widzisz! cóż powiesz na to?”

Żoi ruszył ramionami. „Z tém wszystkim nie zarobisz sobie ani kropli wody. Nie potrafisz ani psów deresować.“

„Umie czytać i pisać,“ rzekła matka.

„Co u diabła jest tu do czytania lub pisania?”

„Umie szyć suknie.“

„To umieją téż nasze dziewczęta. Do tego się bez niej obejdziemy.“

„Umie haftować.“

„Będę haftowała na sprzedaż,“ mówiła Moina.

„Na to niemasz co odpowiedzieć Żoju,“ rzekła Kamarda, „a potém ona będzie doglądała tego chłopca.“

„To właśnie. — Twą drugą zdobycz,“ odpowiedział szydycz król. „Słuchaj Kamardo, nie masz szczęścia w twoich przedsięwzięciach.“

„Moja Moina i to biedne dziecko przyniosą kiedyś szczęście naszej bandzie. Podziękujesz mi jeszcze kiedy Żoju.“

Moina stała dotąd nieśmiało za matką, ale nagle, jakby jakimś mimowolnym uczuciem natchniona, wystąpiła na przód i rzekła śmiało i odważnie, zwracając się do dowódcy:

„Żoju! widzę tu w około przesady dla siebie, dla tego, że odebrała chrześcijańskie uczciwe wychowanie. Ci, którzy brałemi memi i siostrami moimi byli i być mają na przyszłość, odpychają mnie od siebie, to zasmuca i obraża mnie. Żądam więc od ciebie i drugich, byście się najprzód przekonali co umiem, nim się ośmie-

licie sądzić mnie. Jeżeli wam moje umiejętności nie przypadną do smaku, będę się mogła nauczyć czego więcej, jeżeli to być może; jeżeli zaś nie będzie to możebnem, możecie mnie oddalić, ale nie będziecie niesprawiedliwymi przed czasem.“

„Chcesz się odmienić?“ rzekł naczelnik, patrząc na nią z podziwieniem. „Dobrze więc, zaraz zacznij od tego.“

„Lękam się tylko, czy się rozumiemy, i że odmiana, której odemnie żądasz, nie będzie mi nigdy możebną. Przysięgłam méj opiekunce, że żadne prośby, żadne próby, żadne męczarnie, nie zmuszą mnie do zmienienia méj wiary, lub do opuszczenia mych obowiązków. Będę posłuszną wam i matce mojej, o ile rozkazy wasze zgadzać się będą z przykazaniami Boga. Będę najpokorniejszą z służebnic waszych, będę służyła najniższym pomiędzy wami, lecz nie uczynię nic, co się nie zgadza z przykazaniem bożém. Rozkazuj, jestem twoją służką. Każdą pracę, którą mi zadacie, wykonam bez szemrania, nie usłyszycie skargi mojej; bo wola Boga wszechmocnego stawiała mnie pod moc waszą, kiedy mi dała urodzić się pomiędzy wami.“

Król obrócił się do Kamardy i rzekł do niej, wskazując palcem na Moinę: „Słyszałaś?“

„Ona ma rację.“

„Doprawdy?“

„Ma słuszność, a ja będę broniła jój słuszności choćby przeciwko samemu tobie.“

„To dziwnie.“

„Ty nie wiesz, jaki skarb jest córka moja i jak ją kocham!“

„Czy ona ci to przywiązanie odplaci?“

Kamarda nie śmiała odpowiedzieć. Jój czarna dusza miała jedno czyste jasne miejsce, a tém była miłość

macierzyńska, uwielbienie dla cnót córki, których naśladować nie mogła.

„Możesz odpowiedzieć matko, że tak,“ zawołała Moina, całując jój czarną rękę.

„Więc tak, tak; Bóg niech cię za to słowo błogosławi!“ zawołała stara, biorąc głowę Moiny w obie ręce i całując ją wśród łez rześstych.

Moina przyjmowała te oznaki przywiązania z czułością, i pomyślała: Boże! matkę moję przyprowadzę do ciebie, ona nadto mnie kocha, żeby mnie słuchać nie miała. O dzięki ci, o Boże, i za to, lecz dopomóż mi także w ocaleniu drugich.

---

## 6.

### Młoda missyonarka.

Zoi zakończył posłuchanie królewskiem skinieniem ręki. Moina, która postanowiła zająć się zaraz naznaczoném jój przez Boga dziełem, widziała, że najprzód trzeba jój będzie usunąć przesady, które tu przeciw niej istniały.

Przystąpiła do niewiast, które najpierw ją ujrzały, i które teraz zatrudnione były praniem odzieży w strumyku na łączce.

„Pomogę wam,“ rzekła uprzejmie.

„Co? ty, ty nam chcesz pomagać, taka wielka pani? Twoja siostra Kira nie pomyślałaby o tém. Przerobiła ona Naczelnika na swoje stronę, i nikt jój słowa powiedzieć nie śmie; my musimy pracować, podczas kiedy ona czas na próżnowaniu trawi.“

Tymczasem Moina zajęła się praniem. Wykonywała

tę pracę, z zręcznością i rozsądkiem, jakie wykształcenie moralne użyć potrafi choćby i przy najgrubszej pracy. Lubo w inny sposób prała niż Cyganki, miała w krótkim czasie połowę więcej i lepiej wypranej bielizny, niż one. Najbliżej niej stojąca niewiasta spostrzegła to i zwróciła uwagę innych.

Wszystkich oczy zwróciły się na nią i pełno było szeptów i podziwień. Lecz żadna nie śmiała prosić jej o podanie im tego sposobu.

Moina słyszała i uważała wszystko, nieokazując tego; lecz czuła, że teraz była korzystna chwila do zbliżenia ich ku sobie.

„Czy znacie ten sposób prania?“ zapytała ich, „Francuzi tak pracć zwykli.“

„Zdaje się, że to łatwiej niż po naszymu, czy nie chciałabyś nas nauczyć?“ Ozwało się kilka głosów.

Moina schwyciła tę sposobność, by przeto pozyskać ich zaufanie. Najprzód trzeba jej było zjednać sobie szacunek tych istot, przez pokazanie im w każdej rzeczy swój wyższości nad niemi. A dopiero wtenczas gdy pozyska ich wiarę w swe zdolności i przymioty, mogła się spodziewać, iż słowa jej znajdą drogę do ich serca. Pospieszyła się więc pouczyć niewiasty w tój podziwianej przez nich sztuce, a pod pozorem pouczenia ich, wyprała za nie prawie wszystkć bieliznę, i zjednała sobie przeto ich przychylność. Rozeszły się, głosząc po całym obozie pochwały nowoprzybyłej dziewczyny. Mężczyźni uwierzyli bez badania, a niewiasty postanowiły dać się jej i w innych rzeczach pouczyć.

„Możemy to śmiało uczynić,“ rzekła jedna z niewiast, „bo ona nie chęłpi się z tego, że więcej wie od nas.“

Pod wieczór Kamarda z Kirą krzątały się około ko-

medyj, które psy odgrywać miały przed licznie zgromadzoną publicznością miasteczka. Moina pozostała w pojeździe przy Edmundzie, objąwszy urząd jako jego dozorczyńni.

Ponieważ mówiła językiem okolic Roussillon, więc Edmund na wdzięk jój mowy przypomniał sobie drogie mu osoby, które go dawniej otaczały. Czuł ku niej taki pociąg, iż się przytulił jak do matki.

Młoda dziewczyna posadziła go na swe kolana, okrywała pieśczołkami i pytała go o jego przeszłość, o której on jednak, jak już widzieliśmy, mało co powiedzieć umiał. Oglądała bacznie jego medalionik i pytała, kto są osoby odmalowane na nim. Lecz odebrała tylko odpowiedź, że to pan hrabia i pani hrabina. Lecz z jakiego ten chłopiec był kraju, jak się dostał pomiędzy Cyganów, tego Moina zbadać nie mogła, i lękała się pytać, by nie wzbudzić podejrzenia.

„O mój Boże, oświeć mnie,“ modliła się ciągle w duchu. Wieczór minął szybko, lubo tęsknota Moiny za jój dobrodziejką coraz się silniej odzywała. Potrzebowała mocnej woli do tego, by nie pospieszyć do niej, znajdując się jeszcze tak blisko. Pokusa była wielką; ale przyrzekła matce, iż się już nie zobaczy z swą przybraną matką; przyjęła na się obowiązek pilnowania Edmunda, a Moina umiała poświęcać uczucia serca dla powinności.

Mówiła pacierz z Edmundem, uczyła go nowych modlitewek, i znajdowała pociechę i uspokojenie w jego dziecinném szczebiotaniu.

„Jak to dziecię kocha Boga i dzieciątko Jezus“, pomyślała; „jest on wzorem dla wszystkich dzieci. Niepodobna, by Bóg miał go opuścić; przysłał on mu mnie dla tego, by nie postradał swój wiary; byśmy się wza-

jemnie wspierali w przepaści, w którąśmy pogrążeni. Opatrzność boska czuwa nad nim; nie wątpię, iż znajdziemy kiedyś jego matkę. Wtenczas wszelkie cierpienia będą wynagrodzone temu biednemu, miłemu dziecięciu.“

Tak rozmyślając, pieściła go i tuliła do łona.

„Ja cię bardzo lubię,“ rzekł chłopczyk, „lecz zaprowadź mnie do mamy.“

„Kochane dziecię, ja nie wiem, kto ona, ani gdzie mieszka. Ty mi tego powiedzieć nie umiesz, a choćbym i wiedziała, zbywałoby mi na środkach do ucieczki. Musimy się poddać naszemu losowi i prosić Boga o moc i siłę do znoszenia go cierpliwie.“

„Będę o to ciągle prosić Boga.“

„To nie dosyć, trzeba mu będzie jeszcze więcej cierpień ofiarować.“

„Jakich?“

„Nim ja przybyłam miałeś innych dozorców, nieprawdaż? Oni nie rozmawiali z tobą jak ja. Ach ci biedni ludzie są bardzo dalekimi od Boga, lecz miejmy nadzieję, iż powrócą kiedyś do niego. Ci ludzie chcą cię różnych sztuk uczyć, byś sobie mógł na chleb zarobić.“

„Ja niepotrzebuję zarabiać sobie na chleb, mama mi go kupuje.“

„Twoja mama już ci go nie kupi, biedne dziecię, a ty będziesz musiał twój zarobek innym oddawać.“

„Ja nie rozumiem co ty mówisz.“

„Wkrótce zrozumiesz. Twoi nauczyciele będą cię może męczyli. Moje serce rozdziera się na tę myśl. Jeżeli chcesz, będziemy się wspólnie uczyli, może ci to przyniesie jakąś ulgę. Będę ci pomagać w twych lekcjach i ćwiczeniach tak, że nauczyciele muszą być z ciebie kontenci. Będą oni także twego pieska męczyli.“

„Ach proszę cię, nie daj mu nic złego uczynić.“

„Nie ma on rozeznania i nie wie czego wymagają po nim, a dla tego powinnyby go ochraniać. Ach Nada tak mnie kocha, prowadzał mnie zawsze na przechadzkę. Mama tak mu ufała, iż pozwoliła nam często iść samym.“

Moina odgadła z téj uwagi Edmunda część prawdy; to jest, że w każdéj chwili dziecko porwane zostało. „Gdybym tylko mogła otrzymać jakąkolwiek pewność,“ pomyślała, „mogłabym o tém dać znać méj przybranéj matce, a ta ogłosiłaby w gazetach, o ukradzeniu dziecka przez Cyganów. Dziecię mówi językiem okolic Roussillon, musi pochodzić ztamtąd.“

Wielki Boże, oświeć mnie;“ te słowa były zwykłym zakończeniem tych rozważań.“

Podług przepowiedzenia Kiry, przyszedł dnia następującego jeden z najrzęczniejszych i najsurowszych Gitanos, i rozpoczął kształcenie małego Edmunda jako skoczka na linie.

Moina widząc z boleścią cierpienia, jakie te lekye biednemu dziecku sprawiały, mówiła o tém swéj matce.

„Może mogłabym uchronić tego biednego aniołka od tych męczarni,“ rzekła. „Jabym go tego wszystkiego przedź i bez tak wielkiego bólu nauczyła.“

„Staraj się osiągnąć pozwolenie Żoja.“

„Spróbuję przynajmniej.“

„Dziś wieczorem najdogodniejsza do tego pora. Gdy dochód z widowiska był znacznym, jest on wtenczas w najlepszym humorze, i można wszystko wyrobić u niego. Jutro wyjeżdżamy.“

„Czy wiesz matko dokąd?“

„Do Prowancyi, ztamtąd do Lyonu, a może i do Paryża.“

„Do Paryża?“, powtórzyła Moina z namysłem.

„Tak do Paryża, a później do Anglii. Żoi ma wynosłe projekta. Chce z bogacić swoją bandę i powrócić z nią kiedyś do kraju naszych przodków i tam nowe królestwo założyć.“

Moina westchnęła na myśl, jak daleko zawiodą ją od rodzinnej ziemi obowiązki, które dobrowolnie przyjęła na siebie i którym wierną być postanowiła. Jój życzenie ocalenia tych nieszczęśliwych, stawało się coraz gorętszem, nim bardziej poznawała, jak ich włóczęące się życie, wystawiające ich na nędzę i niedolę, niedozwalało zarodzić się w ich duszy ziarnu prawdziwej wiary. Ci biedni nędznicy! Im zbywało na wszystkim, co człowiekowi szczęście i wartość nadaje! na religii, na dobrych zasadach! a zatem na wszelkich moralnych podstawach życia tego i przyszłego!

Było to wielkie, śmiałe przedsięwzięcie, tę rozkiełzaną bandę chcieć przyprowadzić do Boga, jednak Moina nie wzdygała się, i właśnie w wielkości tego dzieła czerpała zapał do spełnienia go.

Pod wieczór udała się do naczelnika i znalazła go w brylantowym humorze. Prosiła go więc śmiało, by pozostawił jój samój kształcenie Edmunda.

„Oddaj mnie go,“ rzekła, „zobaczysz, że będziesz z nas zadowolionym. Dziś rano człowiek, który go uczył, sprawił taki ból biednemu dziecku, przekręcając jego ręce i nogi, iż płakało kilka godzin.“

„Tak być musi, inaczej nie nauczy się niczego. Nie mogę przystać na twoje prośby. Popsułabyś nam tylko ucznia. Niech ci téż nie przychodzi do głowy psuć go przez zbytne pieszczoty, bobyśmy go odebrali wcale z pod twojego dozoru. Ta groźba wystarczyła, by wstrzymać Moinę od dalszych nalegań, bo widziała

iż jój opór pogorszyłby tylko położenie biednego dziecięcia. Myślała tylko dzień i noc nad tém, jakby ustrzedz młodą jego duszę od wpływu niegodziwych ludzi, którzy go otaczali. Lubo Moina zdołała przez rozmaite dobre uczynki zjednać sobie ich przychylność, jednakże słowa jój nie robiły dotąd żadnego wrażenia na zatwardziałych tych duszach. Skoro tylko wspomniała o Bogu, o przykazaniach Jego i kościelnych, zagłuszyły ją śmiechy szydercze. Była wyśmianą, przezywaną świętoszką i dręczoną rozmaitemi uszczypliwými żartami; zwłaszcza w dnie świąteczne, które sumiennie obchodziła.

Tak upłynęło kilka miesięcy, w przeciągu których znosiła spokojnie te wszystkie szyderstwa i prześladowania. Nakoniec jój łagodność, słodycz i dobroć, jój czułe obchodzenie się z matką i siostrą, jój niczém niezłęczona wesołość umysłu, ten zwykły owoc pobożności; ten niczém niewzruszony spokój duszy, którego żadne obelgi zmięszać nie potrafiały; te wszystkie przymioty zaczęły wywierać wpływ imponujący na tych podłych istotach. Cygani przywykli poddawać się ślepo swym namiętnościom; lubo nie pojmowali tych cnót wzniosłych, które widzieli w Moinie, czcili ją jednak jak jakąś wyższą istotę. Obchodzili się z nią, nie wyjąwszy Żoja, z szacunkiem; radzono się jój w wątpliwych zdarzeniach i porzeczano wszelkich szyderstw.

Kamarda nieposiadała się z radości i dumy, lecz Kira pałała zazdrością i nienawiścią. Usiłowała wszelkimi sposobami upokorzyć siostrę i szkodzić jój, lecz gdy tego dopiąć nie mogła, wywierała swą zemstę na biednym Edmundzie. Uczyla ona go bowiem żebrania podług reguł cygańskich, i biła nielitościwie, gdy chłopiec żadną miarą niechciał pojmować jój nauk.

Moina miała teraz podporę w Żoju. Za sznurek prawdziwych koralii okupiła sobie sprawiedliwość króla jegomości. Powierzył jój nawet wyłączne uczenie Edmunda, gdy osądzono, iż dla swój ślepoty nie może być skoczkiem na linie. Miał się więc tylko jako proszący ukazywać publicznie. Nauczyła go kilka hiszpańskich i francuzkich wyrażeń. Cieszyło ją to niejako przy tém wystawieniu chłopca na widok publiczny, iż może przez to poznanym będzie od swój rodziny.

„Drogi Edmundzie,“ rzekła do niego w wilię dnia, kiedy miał występować publicznie w Barcelonie. „Czyni jak cię nauczyłam, niezapomnij niczego; może litościwy Bóg da ci za to znaleźć twą mamę. Wierzę, że ci przykro być musi zebrać po ulicach miasta, lecz uważaj to jako próbę zesłaną od Boga, jakich wiele jeszcze czeka na ciebie w tém życiu.

Odwaga, wiara i poddanie się woli bożej, są to mocne tarcze, o które rozbijają się ciosy przykrego losu.

Edmund dostał porządne oporządzenie, nie łachmany ani téż strój upstrzony błyskotkami. Włosy jego ułożono w loki, dano mu w rękę duży worek, kazano mu jeszcze raz odśpiewać piosnki, któremi miał wzruszyć serca bogatych pań i panów, przywiązano Nadę na jedwabnym sznurze do jego pasika, i tak udano się z nim na ulice Barcelony w nadziei dobrego zarobku.

Moina nie chciała z początku towarzyszyć chłopcu. Myśl wyciągania ręki po jałmużnę i nadużywaniu dobroci ludzkiej na cel osobisty, była w jój duszy nieznośną. Ale Edmund płakał i krzyczał, i niechciał iść bez niej; dostał więc srogie plagi. By ochronić go od powtórnych, przezwyciężyła się młoda dziewczyna i udała się z nim na żebranie.

Edmund zrobił zupełnie takie wrażenie, jakiego się

spodziewali Cygani. Obsypywano go nie tylko pieniędzmi, ale nawet łakociami, kwiatami, zabawkami, pieszczotami i rozmaitemi pytaniami. Biedne, ciemne dziecko mówiło wiele o Bogu, o dziecięciu Jezus. Ludzie widzieli z tego, iż był dzieckiem rodziców chrześcijańskich, i słowa „ukradziony,“ dawały się słyszeć z cicha i głośno.

Cyganie mieli dobre uszy, którym te uwagi nie uszły. Na wieczór pozbierali namioty i zniknęli szybko.

„W Hiszpanii niepewniśmy. Musimy na jakimkolwiek statku udać się przez morze do Francji; tam ludzie nie będą się tak bardzo o nas troszczyli, bo mają inne sprawy w głowie,“ mówili Cyganie.

Wielka wprawa tych ludzi w uchodzeniu oczom policyi, nastęrczała im rozmaite drogi i środki, o których czysta dusza Moiny nie miała ani wyobrażenia. Szła więc z matką za drugimi, niedomyślając się nawet o ich ambarasie, z którym też strzegli się wydawać przed nią. Wsiadła do pojazdu z Edmundem i miała do czynienia, by go uspokoić, bo on płakał i krzyczał, dopominając się swych skarbów, które mu odebrano, a które on za swą zapracowaną własność uważał. Znużony łzami i trudami dziennymi, zasnął nakoniec, a pojazd toczył się na czele bandy wiedzionej przez Żoja, który nikomu nie przepisywał podobnej sobie zręczności, prowadzenia swego ludu przez rozmaite manowce i tajne ścieżki.

Jakoż bez żadnej przeszkody przybyli do małej miejsciny na wybrzeżu morza, gdzie ciągle był na pogotowiu statek przemycarzy do przewożenia wyrzutków z wszelkich narodowości, wszelkich nieprzyjaciół porządku i prawa. Jeszcze téj samej nocy wśród niepogody i deszczu odbito od brzegu.

Zaledwo ujechano kawałek drogi, kiedy gwałtowna wszczęła się burza. Bałwany rozhukane szumiały z wściekłością, a przestkach okropnej śmierci wśród otchłani morskiej, objął zatwardziałe dusze Cyganów.

Moina klęcząc na pokładzie, trzymała w objęciach śpiącego sierotę i błagała Boga i Świętych, by odwrócili od nich to niebezpieczeństwo.

Matka, siostra i inne niewiasty otoczyły ją, podczas kiedy mężczyźni zajęci byli kierowaniem słabego statku, naprawianiem uszkodzeń, które raz poraz bałwany w nim robiły. Kobiety płakały i klękały w największej rozpacz. Kira załamywała ręce i przeklinała dziecko, które jako przyczynę tego wszystkiego uważała.

„Od czasu, jak mamy tego chłopaka, wszystko nam się źle wiedzie,“ mówiła; „gdybym to była wiedziała, byłabym go zostawiła w owój altanie z grabiny. Warto téż było wlec go ze sobą. Jak tylko jest u nas, przychodzi jedno nieszczęście po drugim, a chociaż przynosi pieniądze, kosztuje nierównie więcej. Usłuchajcie mojej rady i wrzućcie go w morze; tém uspokoją się duchy wodne, które tylko jakiejś ofiary żądają.

„Tak, tak, to dobrze, dalej z nim w wodę!“ krzyknęły chórem wystraszone niewiasty.

„Moino dawaj chłopca!“ krzyknęła Kira rozkazująco.

Moina powstała, przycisnęła dziecię z całych sił do siebie — drżące światło latarni rzucało swe blade promienie na jęj piękną twarz, i otaczało ją niby goryą Świętych.

„To dziecię ofiarować? O Boże! siostry, zkadże wam ta myśl przychodzi? Niewinne dziecię, tego anioła, chcecie zamordować! Przez to ściągnęłybyście zabijające pioruny na siebie. Powiadam wam, ani włoska

z głowy tego dziecięcia ruszyć nie zdołacie! Niechaj żadna nie waży się wydrzeć go z rąk moich.“

„Co!“ zawołała Kira. „Ty myślisz, że ja ci się boję? Nędzne stworzenie, ty się mniemasz silniejszą od nas? Zobaczemy!“

To mówiąc rzuciła się z wściekłością na siostrę i usiłowała wydrzeć jęj Edmunda.

Moina walczyła z całym wysileniem przeciw tój szalonej jędzy, ale czuła, iż siły jęj słaby; jeszcze chwil kilka, a Kira posiadała dziecię, które przebudzone gwałtownie, zaczęło krzyczeć z przerażenia.

Wtém dał się słyszeć głos gromu, piorun uderzył w bliskości statka. Niewiasty upadły na twarze; nawet Kira, zapominając swęj złości w tój godzinie straszliwej, rzuciła się na ziemię. Tylko Moina była niewzruszoną; oczami i rękoma wzniesionemi ku niebu, stała niby anioł opiekuńczy na pokładzie, a u jęj stóp tulił się biedny ciemny chłopczyna.

„Boże, dziękuję ci,“ mówiła zcicha Moina, „ty przybyłeś mi w pomoc! Twoja sprawiedliwość i twoje miłosierdzie jest bez granic! O, zlituj się w tój okrutnej godzinie nad tymi obłąkanymi, daj mi z twęj łaski moc do wzruszenia ich serc stwardziałych. A gdyby to było twą świętą wolą, iż musimy zginąć w tój chwili, daj memu słabemu głosowi moc do zwrócenia ich w godzinę śmierci ku Tobie.“

Po tój modlitwie uczuła się nową siłą natchnioną. Zaczęła mówić o widocznej opiece boskiej, którą Bóg okazał jęj i temu chrześciańskiemu chłopcu, z którego one w swém zaślepieniu chciały uczynić ofiarę fałszywym bogom. Mówiła do przestraszonych: o swęj boskiej religii, o wszechmocności Stwórcy, do którego wszystkie należą istoty, które on odwołuje i powołuje

do życia, podług upodobania. Mówiła o jego dobroci, jego litości, zaklinała swych nikczemnych słuchaczy w najdotkliwszych wyrazach, by przez pokutę i modlitwę otworzyli Bogu swe serce, z takim zapalem, iż łza zrosiła nie jedno oko i nie jedne usta wyrzekły prośbę, by dalej mówiła o tym nieznanym Bogu, który jest tak dobry i wszechmocny!

„Wierzcie mi, on wam pomoże,“ mówiła Moina. „Módlcie się, a on was ocali. On nas widzi, słyszy i rozkazuje, byśmy się nawzajem kochali i pomagali sobie wzajemnie. Jego przykazanie jest miłość, litość, miłosierdzie! Potrzeba mu tylko jednego słowa, jednej łzy skruchy, a spojrzy na was okiem miłosierdzia i wybawi was z niedoli, w którą was wtrącił gniew Jego. Ufajcie mi, módlcie się do niego, by wam przebaczył wasze obłąkanie. O módlcie, módlcie się zemną, poświęćcie mu wasze mściwe zamiary, a zostaniecie ocaleni.“

Z rękoma i oczyma ku niebu wzniesionemi, ukłękły niewiasty obok Moiny i niejedna pomiędzy niemi wymawiała drżącemi ustami imię Zbawiciela. Pobożna dziewczica, wśród swych siostr przestraszonych, stała niby wyższa niebios posłanka. Nawet Kira schyliła mimowolnie głowę przed wyrazem téj silnej wiary.

Tymczasem burza wyla coraz to silniej, rozrukane żywioły wznosiły się w bałwany niebotyczne i rzucały jak piłką słabym statkiem Cyganów, błyskawice rozdzierały zachmurzone niebo, a groźny głos gromu zdawał się zapowiadać zniszczenie całemu przyrodzeniu!

Przestraszony Edmund płakał, ukrywając głowę w suknie swój obronicielki i modląc się z cicha. Moina czuła drżenie jego drobnych członków, i głaskała jego głowę przemawiając doń słowami pociechy i uspokojenia.

Położenie podróżujących było coraz to rozpaczliwsze, gromy i wichry wzmagały się z każdą chwilą, a przeklestwa Cyganów mieszały się z krzykami majtków i przemyrcarzy. Pomieszanie było okropne, każdy oczekiwał swój ostatniej godziny z przerażeniem lub rozpaczą. Pomimo usiłowań żeglarzy, dostał się statek w pobliże skalistego brzegu, który mu był najbardziej niebezpiecznym. Wybrzeże roussillońskie ukazywało się zdaleka i groziło rozbiciem się statku o swe skały nadbrzeżne.

Nadszedł nakoniec ten straszny moment. Bałwan, jak wieża wysoki, porwał słaby statek i rzucił go jak lekką piłką z taką gwałtownością o skały, iż się rozbił jak łupina orzecha, a w kilku minutach morze pochłonęło go w swoich głębinach. Nieszczęśliwi, na nim się znajdujący, zginęli na zawsze z rzędu żyjących, a aniół śmierci zawiódł ich dusze przed oblicze sprawiedliwego Sędziego!

Moina w stanowczej chwili przycisnęła z wszelką siłą w swoich objęciach biednego chłopca, i gdyby ręką anioła niesiona upadła z nim na piasku nadbrzeżnym. Było to wprawdzie niebezpieczne miejsce, gdyż bałwany, które ją tam rzuciły, powracały co chwila, i mogły ocalonych, lecz bez zmysłów leżących, porwać napowrót w otchłanie. Ale Matka boska, której tak pobożnie wzywali, czuwała nad nimi. Zesłała opuszczonym dwie pocziwe dusze, rybaka i żonę jego; których biedna chata niedaleko leżała od brzegu i przez potężne skały chronioną była od gwałtowności bałwanów. Pocziwi ludzie spędzili całą noc bezsennie, bo wycie wichru, szum bałwanów, huk piorunów i sygnały małego statku, z rozhukanemi żywioły, zasnąć im nie dały, i za dwie dnię zaczęło udali się na brzeg morza. „Może

będzie podobno ocalić kogo z rozbitego okrętu i przynieść mu pomoc, na jaką się zdobyć możemy," mówili.

Niewiasta spostrzegła najpierw Moinę i Edmunda. „Ach, jakie to śliczne dziecko! pójdźmy po nich, bo bałwany mogłyby znów przybić i zabrać ich z sobą," zawołała.

Rybak wziął na barki omdlałą dziewczynę, a rybaczka wzięła na rękę Edmunda. Bałwany jeszcze były gwałtownie, a bez pomocy tych poczciwców, byłyby te dwie biedne istoty zapewne zgubione.

Zwolna zaczął deszcz ustawać, rybacy położyli w bezpiecznym miejscu Moinę i Edmunda, i dali im trochę wódki na wzmocnienie. Rybaczka potarła im nią czoło i ręce i wkrótce spostrzegli z radością, iż Moina otworzyła oczy, a Edmund podniósłszy się, wymówił imię swjej matki.

„Dzięki Bogu, jesteście ocaleni!" zawołała niewiasta; „zaprowadzę was teraz do mojej chaty. Ty mężu idź tymczasem na brzeg morza, patrzeć co ono nam więcej przyprowadzi, czy znowu kogo uratować będziemy mogli.

Rybak pobiegł — kilka trupów leżało tam bez duszy, drugie pływały jeszcze w spokojnych już falach morza, jako téż szczątki statku Cyganów.

Niektórzy przyszli jeszcze do zmysłów, lecz w wielu już serce bić przestało. Naszych dawno znajomych z bandy cygańskiej: Kamardy, Kiry i Żoja, nie było pomiędzy nimi; dopiero koło wieczora morze ich wyrzuciło.

Przemycarze i majtkowie, którzy po większej części pływać umieli, dostali się na ląd, lecz wiele z nich ze znużenia skonało.

Gdy Moina przysła do zmysłów, udała się, oparta na ramieniu rybaczki, by pomiędzy trupami odszukać

matki i siostry. Był to serce rozdzierający widok, gdy je znalazła w małej przystani, trzymające się jeszcze za ręce.

Biedna dziewczyna, wyczerpnawszy napróżno wszystkie środki ratunku, ukłękła około ich ciał zmartwiałych i błagała Boga, by się nad duszami ich zlitować raczył.

Jój najszczerzszém życzeniem było, pochować szczątki ich po chrześcijańsku, lecz mogłaż wymagać tego, gdy one téj wiary nie wyznawały?

Czyż miała wyznać, czy ukryć, gdy będzie o to pytana? Lecz niebo oszczędziło jój téj walki. Naza-jutrz wszyscy razem byli pochowani w obec Plebana w sąsiedniém miasteczku. Moina i Edmund błagali Boga po nad ich grobem, by im przebaczył grzechy, które w swój niewiadomości popełnili, a Moina opłakiwała serdecznie zgon swój matki, której zaślepione przywiązanie ku niej wzmagało się do ubóstwienia. Ach teraz była Moina sama jedna na świecie, pozbawioną wszelkiej opieki, daleką od jedynéj istoty, która się raczyła nią opiekować.

Banda Cyganów rozproszyła się prawie całkiem przez to okropne zdarzenie. Tylko kilka mężczyzn zostało, a ci wiedzieli dobrze, iż Moina ich sposób życia dzieliłaby nie chciała, nie zbliżyli się zatem wcale do niej z tą propozycją. Pocięszali ją tylko po grubijańsku i winszowali straty, którą poniosła. Po pogrzebie już ich Moina nie ujrzała więcéj. Poczciwa rybaczka ofiarowała jój swój dom, dopóki nie zrobi jakiego postanowienia o przyszłości; przyjęła to z wdzięcznością i mocném przedsięwzięciem okazania téjże dobrem ludziom. Nieco drobnych pieniędzy znalazła jeszcze w kieszeni swój sukni, a obrachowawszy je, uznała, że przy największej oszczędności może tém wystarczyć przez czas niejaki.

## 7.

## Zdarzenie nieprzewidziane.

Moina z Edmundem żyła więc w chatce rybackiej, a poczciwi ludzie widząc ją tak łagodną, pobożną i dobrą, pokochali ją jak własną córkę. I ciemne dziecko, którym Moina tak czule się zajmowała, wzbudzało szczerze współczucie rybaczeki.

„To dziecko jest do wyleczenia,“ rzekła jednego dnia poczciwa niewiasta; „Moino, ja mu wzrok przywrócę.“

„Wielki Boże!“ zawołała dziewczyna z największą radością. „W twojej mocy jest wszystko. Może dla tego właśnie wydarłeś to dziecko jego matce, by w tych dalekich okolicach osiągnęło ratunek, którego przy niej znaleźć nie mogło.“

Rybaczka oddaliła się z chaty, lecz po chwili powróciła, niosąc flaszeczkę z płynem, podobnym do oliwy.

„Jestto tłustość z wątroby jednej ryby,“ rzekła. „Tym środkiem nie jednemu oku światło przywróciłam. Bóg w rozmaitych przedmiotach umieścił środki do ulżenia ludzkim cierpieniom, a często, właśnie nam prostaczkom, objawił ich używanie.“

Tak rozmawiając otworzyła powoli powiekę dziecięcia i wpuściła weń kilka kropli. Edmund zaczął się kwilić, bo lekki ból sprawiał mu ten płyn w oku, lecz było to tylko przemijające uczucie. Rybaczka przez kilka dni powtarzała codziennie tę łagodną operacyą, przyczem Edmund musiał ciągle w ciemności zostawać. Nakoniec dnia czwartego zaczął się szczęśliwy okazywać skutek — Edmund przejrzał. — Lecz wkrótce

oczy dziecięcia nieprzywykłe do jasności dziennéj i promieni słońca, które zaglądały przez małe okienka do rybackiej chaty, zamknęły się znowu. Powoli dopiero wzrok jego zaczął się wzmacniać. Atoli gdy wieczór nadszedł, a niebios sklepienie osute było błyszczącemi gwiazdkami, Moina mogła już z nim wyjść przed chatę. Chłopiec patrzył na wszystko, z zdumieniem; a kiedy podniósł oczy ku niebu, kiedy ujrzał gwiazd miliony, kiedy spojrzął na ziemię i zoczył kwiatki zroszone łzami rosy, gdy widział wierzchołki stóletnich dębów poruszanych lekkim zefirem, objaśnionych promieniami księżyca, wtenczas zapytał Moiny, czy to nie jest niebo, o którym mu tyle powiadała; czy to nie kraina obiecana w nagrodę dobrym ludziom. O, bo on nie przeczuwał, że ta piękna ziemia polana jest łzami ludzkiej niedoli i jest widoczną ludzkich złości. On nie pojmował, że pod tém cudowném sklepieniem nieba, że przy tych pięknych kwiatach, mogą być ludzie źli, niegodziwi.

Moina nie zdążyła odpowiadać mu na wszystkie pytania, bo zanim jeden przedmiot mu wytłumaczyła, spostrzegł już inny objaśnienia godniejszy.

A gdy nazajutrz z po za krańca zielonego lasu ukazało się słońce w swéj boskiej majestatyczności, rączki chłopczyny mimowolnie złożyły się do modlitwy i uwielbienia Boga, za stworzenie tych wszystkich piękności natury!

Ucieszona Moina niewiedziała jak okazać swą wdzięczność poczciwej rybaczce, i tylko modliła się gorąco do Boga, by raczył wynagrodzić jój tę niesłychaną przysługę.

Wszystkie jój myśli i życzenia zmierzały teraz tém bardziej do tego, by jak najprędzej dostać się do Fran-

cy; czuła bowiem, jak wielkim jest ciężarem pocziwym ludziom, którzy dzielili się z nią i Edmundem ciężko zapracowanym kawałkiem chleba, i spodziewała się także dowiedzieć się tam coś pewniejszego o rodzinie Edmunda. Napisała więc list do hrabiny Peronville donosząc jój obszernie o wszystkich zdarzeniach, które ją spotkały od czasu rozłączenia się z nią, i prosząc ją o cokolwiek pieniędzy na odbycie tak dalekiej podróży.

Czekając na odpowiedź, zajmowała się pomaganiem rybaczce w jój pracy, około naprawiania sieci, sprawiania i suszenia ryb, które mąż jój nosił na sprzedaż do pobliskiego miasta. Przytém uczyła Edmunda czytać w jedynej książce do nabożeństwa, która się w chatce rybackiej znajdowała.

Pomimo radości z odzyskania wzroku, Edmund czuł wielką boleść ze straty swojego pieska. Często chodził z Moiną po nad brzegi morza i szukał, czy morze nie wyrzuciło szczątków jego. Lecz gdy ich nie znaleźli, czerpali z tego nadzieję, iż i Nada wyratował się może jakim sposobem. „Jakby on się cieszył, gdyby wiedział, że ja wzrok odzyskałem,“ powtarzał często chłopczyzna.

List do hrabiny Peronville dawno był odesłanym, a oczekiwana odpowiedź nie nadchodziła. Niespokojność młodej dziewczyny wzmagala się codziennie. Liczyła dnie i godziny, wybiegała daleko na drogę, dowiadywała się u sąsiadów, atoli nic się dowiedzieć nie mogła. Poczta bardzo rzadko przybywała w te okolice, a listy często ginęły w tych odludnych stronach.

Pewnego dnia, a był to ciepły dzień latowy, Edmund, nienasycony podziwieniem przyrody, prosił Moiny, by się udała z nim na przechadzkę, na co téż ona po ukończeniu swych dziennych zatrudnień, chętnie przystała. Udali się więc w drogę, rozmawiając ze sobą swobo-

dnie, choć nie wesoło. Edmund, który teraz płynnie po hiszpańsku i po francuzku mówił, opowiadał przygody, które sobie z dzieciennych lat przypominał i czuł większą jeszcze tęsknotę, niż zwykle za mamą i boną. „Gdy się znów dostanę do mamy,“ mówił, „musisz droga Moino na zawsze zostać u nas, i pocziwą rybaczkę, która mi wzrok przywróciła, zabierzem z sobą;“ dodawał zwykle chłopczyzna, tuląc się z czułością do swój jedynéj opiekunki.

Dzień był gorący, dziecko zmęczyło się i żądało wody do picia. Moina spostrzegła niedaleko od drogi, wśród gęstych drzew nad brzegiem morza, małą chatkę. Udała się tam z chłopcem, weszła do ogródka, który ją otaczał i zastała tam właścicielkę wychodzącą właśnie z domu, z którego głośne psów szczekanie słychać było. „O Boże!“ zawołał Edmund, słuchając uważnie, „to głos Nady.“

„Nie bądź dziecinny Edmundzie,“ odpowiedziała Moina. „Nada utonął jak moja matka i siostra; nie ujrzymy ich już nigdy.“

„Cóż to potrzeba?“ zapytała ostro niewiasta stojąca na progu.

„To dziecię ma pragnienie,“ odpowiedziała Moina. „Bądźcie tak dobrą dać mu trochę wody.“

„Nie odmówiłam jeszcze nikomu wody w moim domu,“ rzekła niewiasta. „Wnijdziecie tylko do izby;“ a zamykając drzwi od alkierza dodała: „Cicho szkaradne stworzenie! Ten nieznośny psiak może człeka do największej złości przywieść swoim szczekaniem.“

„To Nada, mój Nada!“ zawołał Edmund, ciągnąc Moinę w stronę, z której ono pochodziło. I ona rozumiała, iż słyszy głos straconego psa, widziała jednak, że trzeba było postępować tu ostrożnie, by nie wzbu-

dziec podejrzeń. Podziękowała uprzejmie wieśniaczce za doznaną gościnność, a po krótkiej potocznej rozmowie zapytała, dla czego zamyka swego pieska i zniewała go przez to do ciągłego szczekania.

„To nie mój pies, uchowaj Boże,“ odrzekła wieśniaczka, „mój syn oplątał mnie tém stworzeniem. Przed kilku tygodniami przyjeśliśmy w dom jakiegoś niewarta Cygana, który się uratował z rozbitego okrętu. To zwierzę przyleciało za nim, lubo zdawało się nie mieć przychylności ku niemu. Nie pojmuję, jak taki mały pies mógł się wyratować z téj burzy.

„To mój Nada, mój Nada!“ wołał Edmund.

„Cygany opuścił nas przed kilku dniami i zostawił nam tego pieska, który się mojemu synowi bardzo podobał, jako zapłatę za naszą gościnność dla niego. Musimy go ciągle mieć na powrozkę, bo chce koniecznie uciekać. Skomli od rana do nocy, lecz nie tak gwałtownie jak dzisiaj. Nie wiem co mu się stało, od czasu coście tu przyszli. To nie do wytrzymania; gdyby mój chłopak nie lubił go tak bardzo, puściłabym go z radością.“

„Czyby go nie można zobaczyć?“ zapytała Moina.

„Ach,“ rzekła wieśniaczka, otwierając drzwi, „ludzie mówią, że ładny, ale ja go znajduję szkaradnym i nie cierpię go.“

Moina poznała natychmiast Nadę, który z całych sił starał się zerwać powróż i z radosnym szczekaniem do niej chciałbiegnąć. Edmund krzyczał prawie tak głośno jak Nada, płakał i dopomagał się o niego. Słowem był to krzyk i wrzask, iż nie można było się zrozumieć, a stara wieśniaczka tak się rozgniewała, iż kazała odejść swym gościom, mrużąc, iż jój niepokój w dom przynieśli. Moinie stanęły łzy w oczach i nie-

podobno jęj było uspokoić Edmunda, który chciał koniecznie zostać przy swoim Nadzie.

„Dobra kobieto,“ rzekła nakoniec, „to wzruszenie łatwo wam wyjaśnić; ten chłopczyk był dawniej ciemnym, a pies ten był jego przewodnikiem. Jesteśmy ocaleni z rozbitego okrętu, i spodziewam się, iż będziecie tyle sprawiedliwą, że nam oddacie pieska, który jest jedyną naszą własnością.“

„Czémże chcecie mnie przekonać, że ten pies jest waszym?“

„Odwiążcie go z powrózka, a zobaczycie, czy zrozumie imię, którém go wołać będziemy.“

Wieśniaczka wahała się chwilę, lecz nie cierpiąc biednego pieska, mogąc go się pozbyć w ten sposób, a mieć dobrą wymówkę przed synem, przystała na tę próbę. Jakoż odwiązała psa z powroza.

Nada skoczył z szaloną radością na swego pana, targał się u stóp jego i nieposiadał się z uciechy. Był to tak rozrzewniający widok, iż Moina od łez wstrzymać się nie mogła.

„Widzicie, dobra kobieto, że ten piesek poznał swego pana.“

„Nie można wątpić o tém. Weźcie go więc póki jestem samą. Nie mogę zatrzymywać téj waszój własności, lecz mój syn zmartwiłby się nie mało, widząc, iż biorą jego faworyta. Weźcie waszego psa, napijcie się wody, a idźcie z Bogiem i nie wróćcie tu więcej.“

„Boże pobłogosław was, dobra kobieto,“ rzekła łagodnym głosem Moina. „Wasze czyny lepsze niż wasze słowa.“

Odeszli więc z Nadą do domu. Ach! nie było to już owo wypieszczone zwierzątko, z włosiem miękkim jak jedwab', ale ostrzyżone, wychudłe, zabrudzone, iż

przykro było dotknąć się go. Był wprawdzie sam winien temu, bo nie dał nikomu zbliżyć się do siebie i gryzł gdy go chciał kto oczyścić. Pomimo tego Edmund głaskał i ścisnął swojego znalezionego przyjaciela.

Powrócili do chaty rybackiej weseli niżeli byli wyszli, atoli listu oczekiwanego nie zastali.

## 8.

## W ę d r ó w k a.

Dnie i tygodnie mijały, a odpowiedź pani Peronville nie nadchodziła. Po dwumiesięcznym pobycie w chatce rybaków, widziała się Moina zmuszoną drugi list napisać, lecz i ten pozostał bez odpowiedzi. „Ach mój Boże,“ myślała często, „moja dobrodziejka umarła zapewne, nie mam więc już nikogo na świecie, ktoby brał udział w moim losie. Gdybym tylko mogła dostać się do Toulouse, by się upewnić co się z nią stało. Będę tam pracowała na wyżywienie Edmunda. Tutaj nic zarobić nie mogę, a tym ludziom jestem wielkim ciężarem. Musimy polecić się Opatrzności i udać się w drogę, będzie ona długą i przykrą, lecz nie pozostaje nam nic innego. Bóg nie opuszcza tych, którzy mu ufają.“

Raz co postanowiwszy, nie wahała się Moina z wykonaniem tego. Pożegnała poczciwych rybaków, którzy powtarzali ze łzami kilkakrotnie, iż gdyby byli bogaci, zatrzymaliby u siebie biedne sieroty, i życzyli im wszelkich błogosławieństw. Gdy już Moina i Edmund byli odeszli, patrzeli za nimi dopóki nie znikli z ich oczów, wśród drzew i pagórków.

Pierwsze dni upłynęły bez trudności naszym podróżnym, bo byli opatrzeni w żywność i nieco pieniędzy, za które mogli opłacić nocleg w gościncach. Atoli co dzień stawała się ta droga uciążliwszą dla biednej Moiny, która obarczona pięcioletnim chłopczykiem, wolno tylko bardzo iść mogła i wyczerpnęła resztę swych zasobów. Co wieczór liczyła swą małą gotówkę. Ach! pomimo największej oszczędności, wkrótce skończyła się ona. „Mój Boże,“ pomyślała Moina. „Mamy jeszcze połowę drogi przed sobą, a nic, z czegoibyśmy żyć mogli. Cóż się z nami stanie? Czyż nas opuścisz? Czy raczysz zaprowadzić nas do celu naszej podróży? O Boże, Boże, zlituj się nad nami!“

Pewnego poranku wyszli bardzo wczesnie. Litościwi ludzie dali im na drogę kawał czarnego chleba i kilka jabłek. Edmund szczęśliwy z posiadania swego Nady, biegł wesoło naprzód i śpiewał wszystkie piosnki co umiał. „Śpiewaj biedne dziecię, bądź wesół dopóki możesz,“ rzekła dziewczyna. „Bóg wie co nas czeka, i czy tego wieczora znajdziem nocleg i pożywienie.“

Nocleg znaleźli w stodole, lecz na wieczerzę musieli się zadowolnić resztą danego im chleba, którego Moina nie tknęła, lecz wszystek dała swemu przybranemu dziecięciu.

Nazajutrz na śniadanie nic już nie mieli. Na obiad otrzymała Moina z trudnością kilka resztek ze stołu, ludzi twardego serca. Ona zaledwie przełknąć co mogła, lecz Edmund zajadał chciwie, skarżąc się jednak na tak nędzną strawę. „Ach, biedne dziecię, oby ci tylko nigdy niezbywało choć na takiej strawie, uchronić cię Boże od śmierci głodowej.“

Nazajutrz upał był nieznośny; szli przez Roussillon

na granicy Languedoc, droga prowadziła przez pustą okolicę, porośłą tylko wrzosem i paprocią. W szerz i w dłuż nie było widać żadnej chaty ludzkiej. „Takim zmęczony, głodny, nogi mnie bołą, chcę jeść i odpocząć, usiądźmy tu Moino,“ mówił Edmund.

„Usiąść możemy, lecz do jedzenia nic nie mamy, jeżeli Bóg nie zlituje się nad nami,“ odpowiedziała Moina.

„I czy dla biednego Nady też nic niema?“ zapytał znów chłopczyzna. „Ach mój biedny piesek.“

Edmund rozplakał się i Moina także. Usiedli na brzegu rowu i Moina potrząsnawszy swe kieszenie, znalazła w nich skórkę zeschniętego chleba, którą Edmund z Nadą się podzielili. Ona zaś, która od dwunastu godzin nic w ustach nie miała, czuła, że siły jęj słabną. Niepewność ścisłała jęj serce, lecz wiara nie opuściła jęj na chwilę. „Czyń co ci się podoba, o Boże,“ rzekła z cicha. „Bądź wola twoja!“

Po długiém odpoczywaniu udali się w dalszą drogę. Edmund już nie śpiewał lecz tłumił łzy, atoli nie skarzył się, miarkując jak Moina była zasmuconą.

Słońce zaszło; a nasi znużeni wędrowcy szli czyli wlekli się dalej. Moina dodawała chłopcu odwagi, wskazując mu wioskę w oddaleniu. Lecz biedny chłopiec już iść nie mógł; Moina usiłowała nieść go, atoli był to za wielki ciężar na jęj słabe siły. Musiano znowu odpoczywać. Gdy znowu chciała się podnieść i wziąć Edmunda na barki, uderzyła nogą o kamień, uczuła ogromny ból w nodze i upadła z bolesnym jękiem.

Wykręciła bowiem nogę i nie mogła się podnieść ze ziemi, tem mniej iść dalej. „O Boże, Boże, otóż cios ostatni, teraz jesteśmy zgubieni!“

Jój położenie było w istocie rozpaczliwém. Musiałaby była umrzeć na tém miejscu, gdyby jój Bóg nie był zesłał ratunku. Kilka razy usiłowała podnieść się, lecz daremnie, nie mogła się ani ruszyć; a jakże Edmund, biedne słabe dziecię, mógł udać się gdzie po ratunek dla niej!

Gdy Moina powiedziała mu o swoim stanie, zaczął płakać boleśnie i ścisnąć ją i prosić, by go zaprowadziła gdziekolwiek, gdzieby mógł dostać jeść i łóżeczko do spania.

Trudno było przekonać go o niemożności tego, nie rozumiał tych przyczyn. Jednakowoż nie upierał się dłużej, lecz przestawszy krzyczeć płakał po cichu, powtarzając co chwila: „Jam tak głodny, tak głodny!“

Moina czuła okropne boleści w nodze, jednakże nikał ból cielesny przed boleścią, którą czuła w duszy. Wstrzymywała swe łzy, by nie straszyc dziecięcia; lecz gdy ten znużony długim płaczem usnął na jój łonie z Nadą na ręku, oddała się całkiem swój boleści.

Droga zdawała się mało używaną, już było późno i można było myśleć, iż podróżni innych pobocznych dróg dla ukrócenia podróży używali. Było wprawdzie możebném, iż jaki podróżny, jaki litościwy Samarytanin, przechodzić będzie tą drogą; lecz równie możebném, iż nikt się na nią nie ukaże, i wtenczas musieli całą noc w tym oplakanyim stanie pozostać.

Noga Moiny puchła widocznie. Słabość ogarnęła członki biednej dziewczyny. Jedyłą pociechę znajdowała w modlitwie, i starała się w niej szukać nikańcej odwagi. Szczęściem, że pogoda była piękna w tej cieplej porze roku.

Dwie godziny przeszło przepędzili w tym oplaka-

nym stanie, gdy nagle dał się słyszeć niby turkot zbliżającego się pojazdu. Wkrótce ujrzała Moina blask latarni, i jój serce wzniosło się z dziękczynieniem ku Bogu.

Z niezmierném wysileniem zdołała uklęknąć, i podnosząc ręce do góry, błagała o litość przejeżdżających. Lecz zapewne wzięto ją za żebraczkę; stangret nie obrócił się wcale, i pojazd przejechał w spiesznym pędzie.

Moina upadła z rozpacz na ziemię. Edmund, którego położyła koło siebie, spał spokojnie z swoim Nadą. Moina milczała, oko jój suche było, lecz jój serce owiła czarna chmura rozpacz. Wtém ukazało się znów światelko w oddaleniu i wznieciło nowy promyk nadziei w jój sercu.

Wkrótce nadjechała odkryta bryczka, a na niej siedziało dwóch mężczyzn, z których jeden był duchownym.

Moina wołała i błagała jak mogła najgłośniej; panowie kazali się zatrzymać woźnicy, i młodszy z nich wyskoczył z bryczki i zbliżył się do nieszczęśliwych. Spoglądał z widoczném wzruszeniem i pytał o ich przygody.

Moina opowiedziała wszystko otwarcie, nieukrywając, jak bardzo potrzebowali pomocy. Nieznajomy słuchał wszystkiego z zajęciem, i jako odpowiedź, podał jój rękę, by ją zaprowadzić do pojazdu, wołając na swego towarzysza, Abbé Grand-maison, by zaniósł śpiącego chłopca.

Za pomocą młodego człowieka i jego pomocnika, została Moina wsadzoną do bryczki, gdzie ją wygodnie umieszczono. Uprzejmy młody człowiek wziął Edmunda

na kolana, dla Nady znalazł się także kącik w pojeździe i tak udano się w dalszą drogę.

Na zapytanie duchownego powtórzyła Moina swoje przygody, a gdy mówiła, wyrażała się na twarzach słuchaczy radość i podziwienie. Gdy skończyła nastąpiło chwilowe milczenie, po którym Abbé tak się odezwał:

„Wyroki boskie są niepojęte. Mniemam, że znaleźliśmy w tej drodze szczęście całej rodziny, i jest to łaska boska, która nas tu przyprowadziła.“

„Więc pojedziemy najpierw do mojej ciotki, nieprawdaż?“ rzekł młody człowiek.

„To się rozumie! Spieszmy ile możności, bo ta młoda dziewczyna zdaje się bardzo cierpiąca, a szczęście, które ją czeka, trzeba ile możności przyspieszyć.“

Jakoż zaczął się pytać na nowo o nazwisko przybranej matki, o domysły przy wykradzeniu Edmunda i nie mógł ukryć swego wzruszenia.

„Młoda dziewczyno,“ rzekł nakoniec, „dziękuj Bogu, bo on to przywiódł cię w to miejsce. Pan Grand-maison, który cię wprowadził na bryczkę, jest bratankiem hrabiny Peronville, do niej to jedziemy z tobą. Nie odebrała ona żadnego listu od ciebie, zapewne dla tego, iż swój pobyt zmieniła, bo dla rozmaitych stósunków musiała opuścić Toulouse. Oplakuje ona codziennie twoją stratę. Jakże wielka będzie jej radość!“

„O Boże, czy podobna!“

„Opatrzność nie czyni nic przez połowę,“ mówił dalej proboszcz, „przygotuj się na wielkie szczęście. To dziecię, które uratowałaś, i które jest z niesłychaną boleścią oplakiwane przez swą matkę, jest synem hrabiny Castillon, bratanki twojej dobrodziejki, siostry tego tu pana Grand-maison. Obiedwie znajdują się obecnie

w zamku Grand-maison, który jest zwrócony pani Peronville. Osądź sama, jakie szczęście zwracamy przez was w grona naszej rodziny.“

Radość Moiny była nieograniczoną, i tylko do modlitwy znalazła się pobożna jej dusza, a serce jej biło radośnie na myśl zwrócenia matce jej dziecięcia.

Pan Grand-maison opowiadał, jak jego siostra w rozpaczy po stracie dziecka, udała się do rodziny, by wspólnie poszukiwać tyle drogięj straty. Cyganie byli zniknęli bez śladu, nikt nie widział ich w zamku. Gdzież miano ich szukać? Gubiono się w najrozmaitszych domysłach i wszelkie śledzenia były bezskuteczne.

Właśnie teraz wracali ci panowie z takiej śledczej podróży i z zmartwieniem myśleli o tém, iż znów biednej matce wszelką nadzieję odebrać muszą. Gdy Bóg sam zesłał im utraconego syna, i przy tém jego obrotniczkę. O cudowne są drogi Boże!

Skrócona opowiadaniem podróz szybko mijała. Wkrótce otworzyła się brama, wkrótce zajechał pojazd na dziedziniec. Pleban i pan Grand-maison udali się naprzód, by przygotować do tak nagłego szczęścia stroskaną matkę.

Pani Peronville przybyła pierwsza na przyjęcie swęj ukochanęj, przybranęj córki, uścisnęła ją w swych objęciach i o mało nie umarła od radości, ujrawszy tak gorzko opłakiwaną wychowanę i zgubionego lubego chłopczynę, którego znała dawnięj ciemnym, a teraz ujrzała go z zdrowemi oczyma.

A matka? Pióro nie zdolne opisać tego przywitania! Serce tylko potrafi domyśleć się i przeczuwać tę rozkosz bez miary!

Nie potrzeba zapewne wspominać, że odtąd Moina nie

opuściła więc rodziny, którą Bóg jój zesłał. Znalazła szczęście w wypełnianiu swych powinności, a błogosławieństwo niebieskie spoczęło na niej i jój przyjaciółach.

A choć w późniejszych latach dusza Moiny doznała niejednego przykrego ciosu, gdy ciemne chmury groziły jój gromem boleści, nie drżała, bo nauczyła się znać wyroki boskie: Że choć ciemne i niezbadane, prowadzą zawsze do światła.

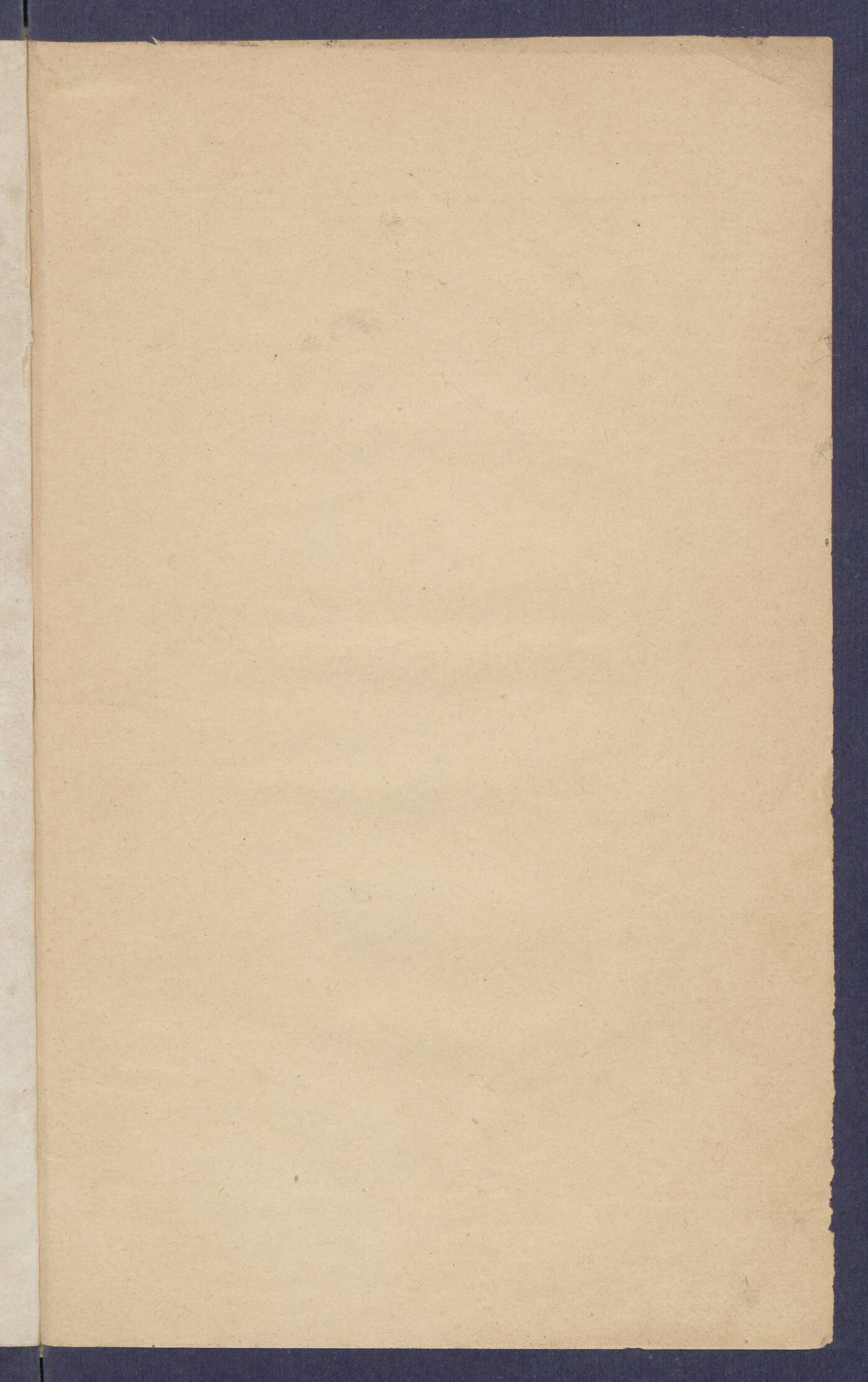
K o n i e c .

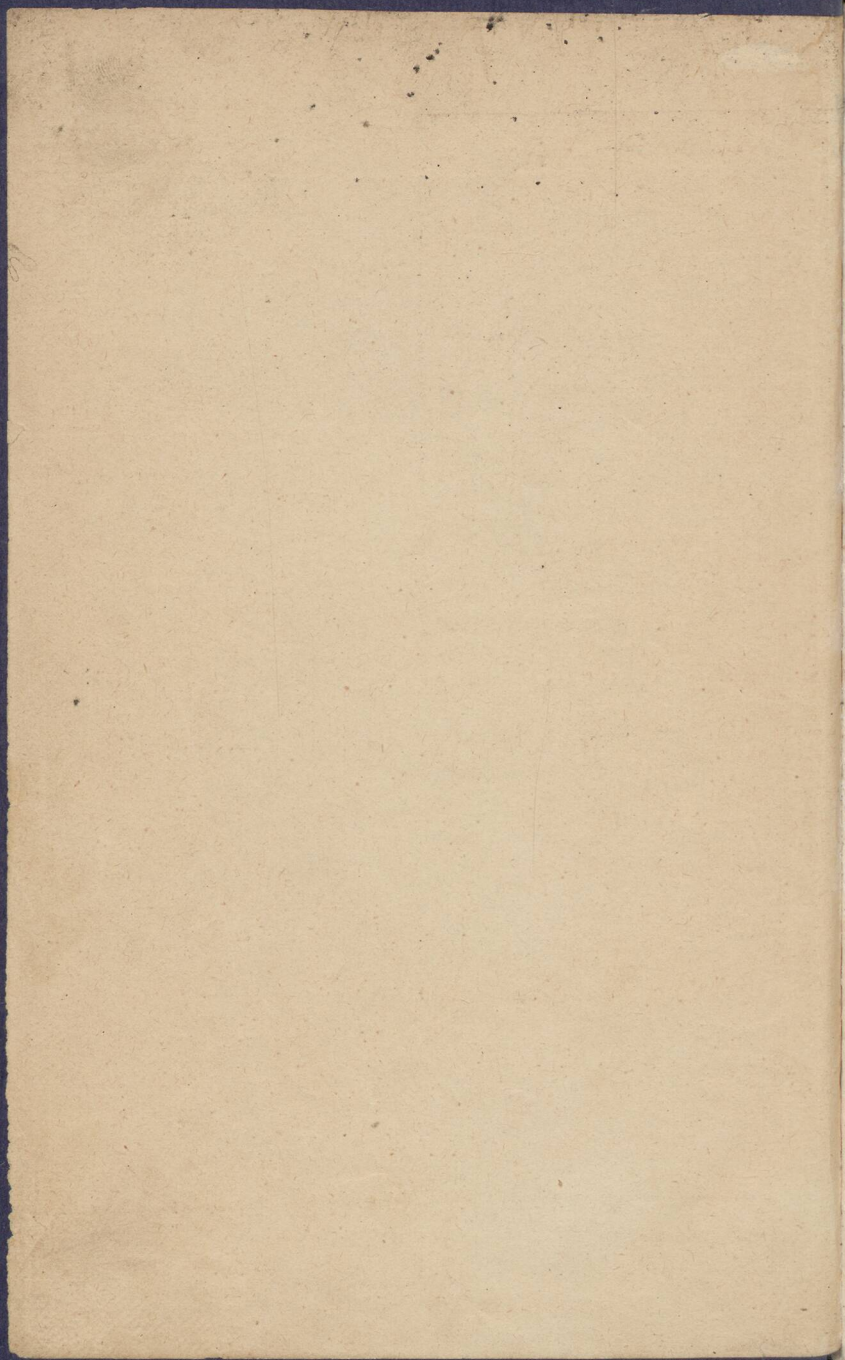


*Sprostowanie.*

Strona	3 wiersz	2 zamiast	który	czytaj	które.
"	4	12	był koncert	"	był to koncert
"	15	23	Syonu	"	Lyonu
"	17	14	Latali	"	Łatali
"	22	17	podły	"	podług
"	25	7	usiedli	"	osiedli
"	34	25	prawdzie.	"	prawdzie:
"	37	13	w dzień	"	w dzień i w nocy
"	40	15	pokochały	"	pokochają
"	43	4	będzicie	"	bądźcie
"	48	8	każdej chwili	"	takićj chwili
"	49	10	nim	"	im
"	51	28	była w jój duszy	"	była jój duszy
"	51	27	nadużywaniu	"	nadużwania
"	60	16	widoczną	"	widownią
"	62	26	domie	"	domu
"	67	17	jój na chwilę	"	jój anina chwilę
"	69	12	owiała	"	owiała







100

E \* 332293

\*KSIĘGARNIA\*  
ANTYKWARIAT



100-

E \* 332293  
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

BIBLIOTEKA UNIERSYTECKA  
W POZNANIU



979131